WYBRANA.

OBRAZ SCENICZNY Z DZIEJÓW POWSZECHNYCH

W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Ludwikę hr. Plater.

POZNAŃ.
Nakładem Rodziny.
Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.
1903.

WYBRANA.

OBRAZ SCENICZNY Z DZIEJÓW POWSZECHNYCH

W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Ludwikę hr. Plater.

POZNAŃ.
Nakładem Rodziny.
Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.
1903.

Uwaga wstępna.

Chcący powodować się zdaniem bezstronnem o niniejszym dramacie, powinien przedewszystkiem unikać jakiegokolwiekbądź porównania lub zestawienia ze znakomitą tragedją Szyllera, mającą za przedmiot tę samą bohaterkę. Genjalnemu autorowi wolno było chwilę historyczną pojąć lub przerobić po swojemu i tak ją przekazać czytającej i zachwycającej się jego mistrzowskim talentem potomności, wtenczas gdy skromniejszym siłom naga prawda bardziej odpowiada, — ta prawda, która nie potrzebuje przeróbki, aby być poetyczną i przemawiać do nas dziejową mądrością. Była też ta prawda dla autora »Wybranej« pożądanem pokryciem niedostateczności własnych środków.

Osoby.

Karol siódmy, król francuzki.
Wilhelm Gaiffier de Bochy, jego powiernik.
Gancourt, wielki mistrz dworu królewskiego.
Margrabia Thouars de la Tremouille.
Hrabia Dunois, namiestnik królewski w Orleanie.
Lahire, jeden z wodzów francuzkich.

Jan Daulon, Lord Suffolk, Lord Talbot, William Glasdale,	wodzowie angielscy.

Ojciec Séguin, doktór z uniwersytetu Poitiers.
Opat klasztoru Benedyktynów w Orleanie.
Brat odźwierny.
Joanna, dziewica ze wsi Dom Remy.
Ojciec Joanny.
Matka Joanny.
Brat starszy.
Brat młodszy.
Tebold, młody wieśniak.
Rajmund, sąsiad w Dom Remy.
Agnieszka Sorel.
Paź Joanny.
Rycerz z obozu Francuzów.
Ranny Anglik.
Ranny Francuz.

Pierwszy żołnierz, Drugi, Trzeci,	w obozie Anglików.

Towarzysz pierwszy.
Towarzysz drugi.

Lionel, rycerz angielski.
Giermek Talbota.
Anioł.
Królowa, żona Karola VII.
Starzec w Reimsie.
Mąż w sile wieku.
Młodzian.
Uczony.
Młoda kobieta.
Cauchon, biskup z Beauvais w Ruonie.
Lohier, doktor prawa.
Brat Marcin, zakonnik.
Czarny Rycecz.

Posłowie z Orleanu, giermkowie, żołnierze, rycerze, wojacy angielscy i francuzcy, mnisi klasztorni, paziowie, dworzanie, panie dworskie, starzec, kobieta, dzieci i lud, taniec śmierci, chóry powietrzne.

Prolog.

Scena przedstawia panoramę świata. — W głębi widać najwyższe pasma i szczyty gór, — na bliższych planach wznoszą się piramidy Egiptu, różne pomniki i ruiny starożytności. — U stóp ich świat, miasta i gmachy wszystkich krajów, — na środku sceny wznosi się skała jakby szczyt wysokiej góry, na który z tyłu zwolna wstępuje Rycerz w czarnej zbroi, czarnym płaszczu i szyszaku z podjętą przyłbicą. — *Czarny Rycerz* staje u wierzchołka góry, spoziera do koła i wyciąga ramiona.

Czarny Rycerz.

Wszystko to moje... to moje... to moje!

. . . .

I te królestwa, te państwa, te kraje
Ziemi robaku, o nędzny człowiecze
Zlepku gliniany, pod nogi ci rzucę
Jeśli się zrzeczesz przesądu, ciemnoty
Gdy za mną pójdziesz i złożysz mi pokłon!
Rachuba moja czyli mię zawiedzie
Czar mego ducha czyli stracił siłę
Dziś gdy znów idę doświadczyć człowieka?

. . . .

Ha! w owym czasie, — nad brzegiem Jordanu
Stał mi się odpór który dotąd piecze
On syn człowieczy — on przepowiedziany

Ten wytrwał wszystko, dar darów odtrącił
Co, by go zyskać niosłem mu w ofierze
Władzę nad ziemią — dziedzictwo me własne
Apage straszne dotąd grzmi mi w duszy
Wygnał któregom drżący oszacował
Hańby mi przydał i uszczuplił władzy
Gwałt odtąd cierpię od tego mocarza!
Lecz jeśli krzywda wielka mi się dzieje
I mnogość ludzi mej władzy uchodzi
Śmie mi urągać a służy Tamtemu,
Przecież są prawa, których mi nie wydrze
Moc Przedwiecznego, — gdyż od niego idę
Jam ziemi książe i póki świat stoi
Póki trwa ludzkość com ją skarał w raju
Posiew mój zgarniać będę do mych progów
W onczas przegrałem! — lecz i on się zgrywa
Wydarł mi wielu, lecz i przy mnie łupy
O, jeszcze jakie! chce większych? nie daję
Jeźlim dziś wdowiec — będą wtóre gody?
Świat coraz jawniej mą pracę popiera
Czyny i słowy! na lep lecą słodki
Rosną przedziwnie co dzień, co godzina
Wiedzy, rozkoszy zgłodniałe zastępy,
Przybywa czułych na pierwsze ponęty
Żądnych czci, złota, — rozkładu czciciele
Blizki mój odwet (śmieje się) i w końcu zobaczym
Kto z nas z bogatszym plonem się wykaże
Kto tu ostatnią wygraną wygłosi
I czy nie zmilknie plonne miłosierdzie
Gdy świat skażony wyroku zażąda
Gdy go przywiodę na sąd niecofniony

Ja oskarżyciel, świadek nędzy jego!
Moja potęga na głazie też wsparta!
Trwała jak kamień co z czasu się śmieje!
Sięga głęboko aż w serca ludzkości
W górę wybuja wraz z myślą człowieka
I nie rozłączna z nią będzie wirować
Zawsze i wszędzie w przestworach bez granic
. . . .
Co ja zasieję, na bujnej to niwie
Wchodzi i rośnie i owoc przynosi...
I tak się splotło z istotą stworzenia,
Że nie rozerwie moc żadna tej sieci
Aż połączeni już z sobą na wieki,
Razem zapadniem w państw moich otchłanie
. . . .
Tchnę na świat tylko i cały świat w ogniu
Synów już ludzkich krew bucha strumieniem
Giną krainy w pustynie zmienione
Giną narody okute w kajdany
Spojrzę, a wieków sławiona powaga
Pryska jak bańki mydlanej ułuda
Ziemia się trzęsie w posadach wzruszona
Walą się gmachy, świątynie padają
Któż je ocali? I losu ślepego
Wstrzymać kto zdoła wszechwładną potęgę?
Świata kto postęp hamując zuchwale
Cofnąć wstecz zechce co naprzód wciąż goni?
Kto, co upadło, bo upaść musiało —
Z prochu podniesie? Kto otrze łzy ludom?
Zwiędły nikczemnie daremne nadzieje,
Pomoc cudowna zawiodła, o głupi!

Na nic się zdały dziś waszych praw mary!
Przed prawem siła.... Ja siłą i prawem!
Ja, ja Pan świata!... ja światło niosący!
W proch się przedemną ukorzyć powinien
Kto na tym świecie pomyślnych dni żąda!
Upaść musicie, gdy wrogiem ja waszym,
Bo gdzie mój sztandar, — tam wasze zwycięstwo
Szydzę ja z groźby, przekleństwa i słowa....
Dalej i śmiało me dzieło prowadzę....
Jeszcze niewiasta nie starła mi głowy
Wszystko to moje... to moje... to moje!

(Znowu wyciąga ramiona jakby chciał cały świat objąć i zagarnąć.)

Lecz się nie bójcie!... to berło nie straszne
Wam nie zacięży! Ja lubię wesołe
Życie, o ludzie dość cierni na świecie!
Kwiatem ja radbym uścielał wam drogę!
Wiedzie wszak do mnie gościniec szeroki
Mknąć po nim gładko i miło i łatwo
Z wieńcem na skroniach i z okiem błyszczącem....
Rady przyjaznej słuchajcie o ludzie
Z czoła precz chmury, precz troski zabójcze!
Wszystko to mary, dręczenie się próżne!
Mądrość prawdziwa to szał i użycie
Wszelkich radości! Rozumna niepamięć
Tego co gniecie na płaczu padole!
Niech on przepadnie ze swemi postrachy
Życie wszak krótkie i tylko dziś wasze,
Hejże do tańca, hej do zabawy
Króle, Książęta, Cesarze i Pany!

Niech się co żyje i wije i kręci...
Starce, kobiety, i dzieci — wsze stany!

Chór.

Hej króle i pany
Puszczajcie się w tany
Gdy smutno na świecie
Niech koło się splecie.
Kołujmy
Wirujmy
W łańcuch się szykujmy
Niech sobie kto płacze,
Kto mądry ten skacze.

Hej pany i panie,
Książęta, mieszczanie
Wziąwszy się pod boki,
Tu do nas w podskoki.
Papieże
Balwierze
Waleczni rycerze,
Biskupi, prałaci,
Sędziowie i kaci!

Wy kupcy bogaci,
Wy dumni magnaci
Pląsajcie tu w koło
Gdy smutno, wesoło!
Biedacy,
Wieśniacy
Z torbami żebracy
Na zabój pląsajmy
Wstrzymać się nie dajmy.

Bo wszystko na świecie
Tak zwiędnie jak kwiecie
Cesarzy na tronie
Wnet ziemia pochłonie
        Z piękności
        Z młodości
Zostaną się kości
I czaszki szkielety
Robactwo na wety!

Więc króle i pany
Puszczajcie się w tany
Gdy smutno na świecie
Niech koło się splecie
        Kołujmy
        Wirujmy
W łańcuch się szykujmy
Niech sobie kto płacze,
Ten mądry kto skacze.

(Taniec śmierci złożony z przedstawicieli wszystkich stanów przeplatanych kościotrupami okrążył skałę trzymając się za ręce i pląsając w koło, czarny rycerz śmiejąc się zapada powoli w dół, — koło się rozwiązuje i jak długi łańcuch, — szaloną muzykę słychać coraz dalej, — gdy zaś ucichło zupełnie, Anioł zlatuje z góry i unosząc się w powietrzu zatrzymuje się nad tymże wierzchołkiem skały.)

Akt I.

(Na pierwszym planie z prawej strony widzów chata wiejska, za nią ogród, drzewa, za drzewami dalej widać wiejski kościółek. — Z lewej strony wieś i pola. — W głębi drzewo rozłożyste, a dalej za niem las. W chwili gdy się kurtyna podnosi *Joanna* w wieśniaczej odzieży pod drzewem w głębi klęczy w zachwyceniu. Z góry na nią pada promień jasny, jakby resztki jakiegoś widzenia. Promień powoli usuwa się w górę; — skoro znikł zupełnie *Joanna* powstaje i zbliża się na przód sceny.

Scena I.

Joanna.

Ach! więc już dłużej nie mogę się wahać
Głosy to święte i słuchać ich trzeba...
Żegnać cię muszę ojczysta zagrodo
Porzucić tu wszystko co drogiem mi było!
Duszo ty moja, dla czegoż się boisz?
Czemu twój zapał w tej chwili ostyga?
Czy żal ci domu, żal zabaw wesołych?
Wszak już wesela od dawna tu niema
Tylko jest nędza, są straszne niedole
Łuny pożarów, choroby i klęski....
(po chwili milczenia)
Ale jest matka, jest ojciec sędziwy
Są mili bracia... Ach! z niemi być mogło
Dobrze na świecie przy pracy, modlitwie,
Przy gospodarstwie, przy igle, kądzieli...
Wszakże, głos Boży gdzie indziej mię woła
Niechże się stanie jak chce, jak rozkaże!

Scena II.

Joanna, Tebald.

Tebald (wchodząc od strony wsi).

Miła Joanno!

Joanna (zlękniona).

Tuś znowu Tebaldzie.

Tebald.

Dawno już szukam chwileczki sposobnej,
Aby choć słówko rzec tobie na stronie,
Czy chcesz posłuchać?

Joanna.

Gotowam, mów prędzej!

Tebald.

O nie napędzaj mię tylko, bo wtenczas
Pewno nie zdołam wyrazić co chciałbym...
Serce me dawno pragnęło tej chwili
Jednak drży teraz, i nieśmiem wymówić
Usty, co duszę napełnia mi całą.

Joanna (spuszcza oczy i stoi zmieszana).

Tebald.

Ach! ja cię kocham od dawna Joanno!
Kocham zapałem najpierwszej miłości...
Byłbym szczęśliwy jeźlibyś wzajemnie
»Kocham« rzec mogła i chciała być moją.
(po chwili milczenia).
Milczysz o luba?

Joanna.

Cóż mogę powiedzieć?
Niewiem... ja ciebie zrozumieć nie umiem.

Tebald.

Ty nierozumiesz?... Ach! chyba, że niechcesz
Niechcesz zrozumieć tej mowy serdecznej...
Niechcesz mi szczęścia udzielić jakiego
Pragnę gorąco.

Joanna.

Dziś szczęścia Tebaldzie?

Tebald.

Tak, tak, dziś właśnie, gdy życie tak ciężkie
Gdy chleb tak gorzki, gdy smutno tak wszędzie,
Chciałbym jak ptaszek ulepić w ukryciu
Sobie gniazdeczko, by ogrzać w niem serce
Ciebiem ja wybrał...

Joanna (z żywością).

Nie mówmy już o tem.

Tebald (z wyrzutem).

Nawet i mówić ty zemną już niechcesz.

Joanna.

To być nie może!... Być nigdy nie może.
Nie, to nie dla mnie! Daj pokój tej myśli!

Tebald.

Nigdy Joanno?

Joanna.

Powiadam ci szczerze.

Tebald.

Kochasz innego?

Joanna.

Nikogo prócz Boga!

Tebald.

Przebóg, co słyszę?... Do murów klasztornych
Wstąpić byś chciała.

Joanna.

Coć znowu się roi?
Ja, do klasztoru? Ja prosta dziewczyna?
Ja nie uczona ni czytać, ni pisać?....
Jażem królewna lub córka rycerzy?
Czyżem ja godna być oblubienicą
Pana nad Pany?

Tebald.

A przecie mówiłaś.

Joanna.

Tyś niezrozumiał...

Tebald.

Ach, daj się nakłonić!
Wierzaj, możemy być jeszcze szczęśliwi!
Cóż bo pomoże ta troska zbyteczna?
My nie odmienim co Pan Bóg dopuszcza!
Wola to Jego więc znosić nam trzeba!
On wszak nie broni pociechy niewinnej!
Nawet przeciwnie... gdy zewsząd nas gniecie
Jarzmo zbyt ciężkie, niech szczęście domowe

Inne zastąpi... niech wydrze wrogowi
Choć część zdobyczy, wzbudzając na przyszłość
Ludzi poczciwych, obrońców zagrody
W których by matka wszczepiła zawczasu
Miłość prawdziwą dla kraju, dla Boga!
Powiedz nie piękneż jest takie zadanie?

Joanna (z zapałem).

O ja pojmuję! (spokojnie) lecz spełnią je inni.

Tebald.

Nikt nie potrafi to lepiej od ciebie!

Joanna.

Mnie Pan Bóg woła! Niemogę już sobą
Dalej rozrządzać. Lecz mógłbyś mi wielką,
Wielką wyrządzić przysługę i łaskę.

Tebald.

Tylko mów, całym na twoje usługi.

Joanna (tajemniczo).

Dziś o północy potrzeba mi będzie
W podróż daleką cichaczem się wybrać.

Tebald (zdziwiony).

Nocą?... Cichaczem?...

Joanna.

Tak każą mi Nieba!
Chceszże Tebaldzie Joannę prowadzić
Kędy ją woła Opatrzne zrządzenie?

Tebald.

Ależ rodzice, czy wiedzą już o tem?

Joanna.

Wahasz się?... O! więc poszukam innego,
Albo też sama przez lasy podążę.

Tebald.

Nie, nieopuszczę cię dziwna istoto!
Pójdę gdzie każesz, co zechcesz uczynię.

Joanna.

Dobrze! nikomu więc o tem ni słowa,
Tylko do domu idź, spocząć przed drogą...
A gdy już usną tu wszyscy i wszędzie,
Gdy kur zapieje

Tebald.

Ja stawię się wiernie.

Joanna.

Teraz idź proszę.

Tebald.

Odchodzę.

Joanna (sama do siebie).

Spełnione
Zatem rozkazy... zerwane już pęta!
Serce zamilknij!... Skupienia mi trzeba.
(Idzie w głąb lasu. Tebald stoi przez chwilkę patrząc za nią z żalem i zdumieniem odchodzi w stronę wsi.)

Scena III.

Ojciec Joanny, później *Matka*.

Ojciec (wychodzi z chaty i rozgląda się na wszystkie strony).

Niema jej jeszcze... co wieczór ta sama
Zawsze obawa! (wołając do okienka).
Hej żono, kobieto!

Matka (wychodząc spiesznie).

Jestem tu mężu! Dla czegoż to wołasz
Mię od roboty? Czy tu się co złego
Stało, broń Boże?

Ojciec.

Com mówił, to prawda!
Dotąd Joanna po lesie się błąka
I nie wróciła.

Matka.

A jednak przed chwilą
Zda się słyszałam jej głosu dźwięk luby
Sercu mojemu tak miły i wdzięczny!

Ojciec.

Dziecię to dużo mi troski przysparza!
Bodajbym nie był prawdziwym prorokiem.
Czasy niepewne... a ona samotnym
Zawsze i skrytym oddana dumaniom...
Nic w tem dobrego... powiadam ci zawsze
Nie dość ją gromisz, pilnujesz nie dosyć,
Nadto pobłażasz dziwacznym wybrykom...
Ale pamiętaj, że z dzieci rodzicom
Niemasz pociechy, jeżeli zbyt słabą
Ręką prowadzą młodzieńcze ich lata
I odpowiedzą przed Bogiem za każdą
Winę ich, która na głowę im spadnie.

Matka.

Ależ, mój mężu, i jakżebym miała
Karcić bez winy tę lubą dziecinę?

Taka potulna, pobożna i zawsze
Nasze gotowa wypełnić rozkazy
Chęci uprzedzać i służyć każdemu
A miłosierna!... Mój Boże! ostatki
Oddać by rada biednemu!... Niesłusznie
Na nią napadasz! pociechę i chlubę
Tylko z niej mamy.

Ojciec.

O, wiem ja, że kiedy
Kto na Joannę chociaż słówko powie;
Toś mu gotowa przez całą godzinę
Śpiewać pochwały twojego dziecięcia,
Ale jeżeli doprawdy tak widzisz
Same li tylko w niej dobre zalety
Wydać by za mąż ją pora nareszcie,
Toby marzenia przykrócić musiało.

Matka.

Ona tak młoda!... wszak na to dość czasu

Ojciec.

Tebald jak mniemam rad byłby ją pojąć
Chłopak uczciwy... pomówić z nim muszę.

Matka.

Cóż tak spiesznego? Ach, błagam cię mężu
Mnie nie tak pilno oddalić już z domu
Dziecię najdroższe... A wreszcie Joanna
Wcale nie myśli.

Ojciec.

Myślałażeś o mnie?

Byłaśże starszą lub mniej urodziwą
Gdy cię w małżeństwo rodzice oddali?

Matka.

Ja co innego.

Ojciec.

I byłaś szczęśliwą
Alboż nie prawda?

Matka.

Nie przeczę mój mężu.
Ja cię kochałam... lecz nasza Joanna
Dziecię to jeszcze.

Ojciec.

Och! widzę, że z tobą
Trudna mi sprawa! Na wszystko odpowiedź
Zawsze gotowa u ciebie się znajdzie
Przeto do jutra odkładam stanowczą
Z córką rozmowę.

Matka.

W pokoju ją zostaw.

Ojciec.

Ojciec powinien mieć dobro na względzie
Swego dziecięcia, nie jego kaprysy.
Ale patrz oto i chłopcy wracają
Z dziennej roboty.

Matka (na stronie).

Gdzież ona być może?

Scena IV.

Ciż sami, *Brat starszy* Joanny, później *Brat młodszy.*

Brat starszy (przychodząc od pola z narzędziami rólniczemi).

Niechaj Pan będzie pochwalon za wszystko!

Ojciec.

Na wieki wieków.

Brat starszy (składając narzędzia za chatę).

My siejem, pracujem,
Lecz kto żąć będzie?

Ojciec.

Czy znów co nowego?

Brat starszy.

Toć to jest kilka z tej strony spalonych
Wiosek w sąsiedztwie! I znowu nie mało
Ludzi bez dachu i chleba! Rabusiów
Pełno być musi tu nawet w pobliżu.

Matka (na stronie).

Boże! a ona!... Jej niema i niema!

Brat młodszy (przychodzi też z lewej strony ale bardziej z głębi, od strony lasu uginając się pod wiązką suchego drzewa).

Mili rodzice, witajcie! po dziennym
Trudzie jak miło wypocząć nareszcie!
Głodnym okrutnie! od kto wie czy jutro
Jeszcze tak razem wieczerzać będziemy.

(składa drzewo za chatą).

Ojciec.

Jakie to życie w tej ciągłej obawie
Chwili spokojnej nie mamy już teraz!
Nikt z nas niepewny ni dnia ni godziny
Wojna, och! wojna, — jak straszna to plaga!...
Gniewu Bożego, to objaw okropny
Kara za grzechy zaprawdę najsroższa
Jaka być może!... Toż w jednej godzinie
Giną zasoby całemi latami
Pracy uczciwej i skrzętnej zbierane,
Pada kwiat młodzi, sieroctwo się szerzy
Cierpi niewinność... a starcy nieszczęsni
Tułać się muszą jak mary po świecie
Jakby ostatni dzień świata się zbliżał.
Oj źle nam małym gdy wielcy się kłócą,
Gdy się gdzie plaga wojenna rozszerzy
My dziś w dostatkach, a jutro, któż powie
Jakie nam jutro ze słońcem zawita?
Ale dopóki Bóg jeszcze użycza
Darów nam swoich, spożywać je idźmy...
Żono, wieczerza...

Matka (która przez cały ten czas niespokojnie zaglądała w głąb sceny).

Czekajcie chwileczkę.
(na stronie)
Gdzież się podziała?... Ach z trwogi umieram.

Scena V.

Ci sami, *Joanna* spiesznie wychodzi z lasu, za nią starzec, kobieta, kilkoro dzieci.

Joanna.

Ojcze i matko prowadzę wam gości!
Patrzcie sam Pan Bóg nam dzisiaj ich zsyła,

Nędzni, odarci, zgłodniali, zmęczeni!
Moją wieczerzę, me łóżko im dajcie!
Błagam was o to. — Ach proszę przebaczcie
Żem się spóźniła (obejmując matkę)
Nieprawda mateczko,
Że się nie gniewasz? (tuląc się do ojca)
Ach! ojcze mój drogi!
Przebacz Joannie.

Ojciec.

Bóg z tobą dziewczyno
Chciałem się gniewać... lecz teraz niemogę!

Matka (do starca i kobiety).

Zziębli jesteście?... ogrzejcie się proszę
(wprowadza ich do chaty).

Ojciec.

Idźmy już wszyscy.

Joanna (na stronie).

Ostatni raz jeszcze!
(wchodzi za innymi do chaty, mrok zalega scenę, tylko przez okno widać teraz światło).

Scena VI.

Tebald przychodzi od strony wioski ubrany jak do podróży z kosztурem w ręku.

Tebald.

Jeszcze nie pora... wiem o tem dokładnie
Północ daleka, lecz dłużej nie mogłem
W domu usiedzieć. Niepewność i trwoga

Gnały mię tutaj... O luba dziewico!
Jakże ty całym mną dziwnie rozrządzasz.
(po chwili milczenia)
Gdy jej nie widzę, gdym od niej daleki
Serce się do niej gwałtownie porywa!
Pali gorączka, szał jakiś ogarnia...
Tracę przytomność!... przez ogień i wodę,
Lecieć bym gotów, by do niej się dostać!
Ale gdy spojrzy, gdy do mnie przemówi,
Spokój, majestat, dziewicza powaga,
Słodycz dziecinna, jej cała postawa
Jakimś mię strachem przejmuje, bojaźnią!
Staję z uczuciem czci takiej jak gdyby
Owiał mię Anioł skrzydłami białemi
I na kolana bym gotów paść przed nią.
Jakbym Niebiankę oglądał na ziemi.
(po chwili milczenia)
Ach! nic dziwnego, że ona przed chwilą
Tutaj rozumieć mych uczuć nie mogła,
Śmiałość to była zbyt wielka z mej strony,
Żem je tak szczerze wyrazić spróbował!...
(idzie w głąb sceny jakby chciał ukryć się między drzewami, ale wnet wraca i zbliża się do oświeconego okna)
Nie, ja nie mogę się od niej oddalić
Coś mię tu ciągnie, coś trzyma za serce!
Wszak w tem nic złego?... Chcę tylko zobaczyć
Co się tam dzieje! (zagląda w okno)
Do stołu zasiedli
Jak im tam dobrze... jak miło pospołu!
Ojciec i matka i bracia... a ona!
Gdybym choć bratem jej mógł być na wieki!
Ona im służy... jak chętnie, jak skoro!

Misy podaje i sprząta talerze...
Z jaką zręcznością, z jak lubym uśmiechem...
Lecz wzrok jej tęskny... jest łza w jej źrenicy!
Ale któż tamten?... nieznane mi twarze...
O nich szczególną ma pieczę, staranie.

(oddala się trochę i wraca znowu)

Wstają od stołu i ręce składają
Jak do modlitwy... dziękują za dary
Panu i Bogu!... Szczęśliwa rodzino!
Teraz podróżnym wskazują komorę
Kędy strudzeni zapewne biedacy
Usnąć by mogli... Joanna zostaje
Sprząta ze stołu... krucyfiks nań stawi
Modlić się będą... wieczorne pacierze.
Chciałbym być z nimi i Pan Bóg tam będzie!
Bóg Dyonizego i Kladoweusza,
Świętej Klotyldy, Ludwika świętego,
I Genowefy... Czy czasem Joanna
Także nie święta?... Doprawdy niekiedy
Myśl ta przychodzi... bluźnierstwa w tem niema
O jak się modli, jak cudnym wyrazem
Śliczna twarzyczka jej rozpromieniona
Chciałbym tak patrzeć, tu stać i wiekować
Ale mi serce boleśnie się ściska
Czemu? sam nie wiem... i płakać bym gotów,
Płakać jak dziecko!... Oddalę się lepiej
Ale już wstają... do snu się rozchodzą
Znowu, ach! oto Joanna przyklęka
Przed rodzicami, kolana ich ściska...
Niby ich żegna... A oni czyż wiedzą,
Że ich opuścić ma zamiar tej nocy?...

O nie! wychodzą... wychodzą spokojnie
Ona zostaje, twarz w dłoniach ukrywa...
Płacze nieboga!... Mój Boże jak chciałbym
Módz ją pocieszyć!... pocieszyć miłością.
Do drzwi się zbliża, wyciąga ramiona,
Jakby tu wszystko uścisnąć pragnęła!...
Patrzy dokoła, dotyka wszystkiego...
Żegna się z każdym znajomym sprzęcikiem...
Muszę ztąd odejść... wytrzymać nie mogę
Serce me pęka...
(odchodzi spiesznie od okna, idzie w głąb sceny, siada pod drzewem i twarz w dłoniach ukrywa, — światło gaśnie w okienku, księżyc powoli wschodzi).

Scena VII.

Joanna wychodzi z domu powoli, ostrożnie i drzwi starannie za sobą zamyka.

Joanna.

Godzina wybiła...
I czas już w drogę.
(klęka i całuje próg rodzicielskiego domu)
Opuszczam cię chatko,
Mego dzieciństwa spokojna przystani
Niechaj twa strzecha i nadal osłania
Głowy sędziwe najdroższych rodziców.
Lekką niech będzie im w każdej godzinie
W pracy, w wytchnieniu. w pociesze w złej doli,
Mnie już nie będzie tu z wami kochani
Kiedy was dotknie choroba lub boleść...
Albo też szczęście zawita jak słońce
Szczęście? Ach, obyż się zlało obficie

Z błogosławieństwa Bożego skarbami
Na was! Nie mogę nic oprócz życzenia
Wam tu zostawić, lecz serce poniosę
Pełne miłości, żalu i tęsknoty
Wszędzie gdzie pójdę, gdzie Bóg mię powiedzie
Ono drży z bólu, rozdziera się dusza
Nogi nie niosą... a jednak iść muszę
Chatko bądź zdrowa!
(odwraca się spiesznie, spostrzega Tebalda, który ujrzawszy ją podchodzi żwawo na jej spotkanie)
Już tutaj Tebaldzie?
Dobrze, dziękuję... puszczajmyż się w drogę!

Tebald.

Dokądże, powiedz? Gdzież mam cię prowadzić?

Joanna.

Wszak w Wokulerze*) jak słychać podobno
Mężny wojownik z oddziałem swym stoi...
Jakie ma imie, nazwisko, niepomnę...

Tebald.

Sir Bodrykurem**) podobno go zowią
Ma być człek twardy

Joanna.

Do niego pójdziemy.

Tebald.

Do Wokuleru?

Joanna.

Tak droga daleka?

*) Vaucouleurs. — **) Baudricourt.

Tebald

Trafim przed rankiem... lecz spiesznie iść trzeba
Maszże dość siły?

Joanna.

Powinna się znaleźć.

Tebald (z niejakiem wahaniem się).

Przed Bodrykurem chcesz stanąć Joanno?
Kędy żołdactwa pełniutko jak mrowia
O nic nie pytam... lecz pozwól uczynić
Sobie uwagę.

Joanna (przerywając mu mowę).

Czyż myślisz doprawdy
Że dla rozrywki dla płochej zabawy
Rzucam rodzinę i dom mój kochany
I w świat się puszczam nieznany i straszny?
Biedny Tebaldzie!
(Księżyc tymczasem zaszedł za chmurę a między drzewami świeci łuna. Joanna wskazując ją Tebaldowi mówi z zapałem).
O patrzaj tam w dali
Blaski złowrogie na niebie się świecą
Tam, tam pospieszać mi zaraz potrzeba
Koniec położyć tym klęskom straszliwym
I kraj wybawić

Tebald (załamując ręce).

Mój Boże! toż chyba
Rozum straciła!

Joanna (kończąc).

Bo Pan Bóg chce tego!
(porywa Tebalda za rękę i śmiałym krokiem z nim razem odchodzi).

Chór napowietrzny.

Idź córko Nieba
Idź kędy trzeba
Biedny wybawić lud!

Gdzie cię Bóg woła
Dziecię Kościoła
Tam wdzięczny wszelaki trud!

Niebać pomogą
Podążać drogą
Niezwykłą dla Ewy cór!

Boś ty wybrana
W obliczu Pana
I z tobą Aniołów chór!!

Dekoracya się zmienia.

W głębi krużganek klasztorny, — z przodu ogród w pierwszych dniach wiosny, po nim zwolna przechadzają się zakonnicy parami i pojedyńczo, to ukazują się, to znikają wśród drzew. W krużganku ukazują się Dunois z bratem odźwiernym. Obaj zstępują do ogrodu.

Scena VIII.

Dunois, Brat odźwierny, później *Opat.*

Dunois.

Bracie, mógłżebym się widzieć z opatem?

Brat.

Właśnie to, Panie, wytchnienia godzina
Ojca znajdziecie w ogrodzie klasztornym.

Dunois.

Dzięki mój bracie,

Brat (wskazując Opata wysuwającego się z bocznej alei).
A otóż i Opat (odchodzi).

Opat.

Kogoż prowadzi Bóg do nas w tej chwili?
(poznając z radością)
Was że to widzę zdrowego nareszcie?

Dunois.

Tak jest niestety! Ja jestem mój Ojcze!
Do was przychodzę po słowo pociechy
Może choć radą pobożną zdołacie
Dźwignąć me siły sterane daremnie.

Opat.

Panie, witajcie! — Jeżeli się przyda
Mądrość starości, gotowym nią służyć
Lecz przedewszystkiem, spocznijcie rycerzu.
(wskazuje ławkę kamienną pod drzewem).

Dunois.

Słowo to, ojcze, jak wyrzut sumienia!
Jest że we Francyi choć jeden dziś rycerz?

Opat.

Mniemam, że właśnie takiego przed sobą
Widzę w tej chwili.

Dunois (ponuro).

Tej nazwy nie godzien
Kto wroga z kraju wypędzić nie zdolny!
Kto patrzeć może jak on się na ziemi
Naszej rozpiera... i od tej katuszy
Kto nie umiera ni z hańby, ni z bólu.

Opat.

Rozpacz, mój synu, nie zdała się na nic.

Dunois.

A cóż nam dzisiaj innego zostało?
Wszystko się, wszystko na przekór obraca,
Ojcze nie warto już na tym żyć świecie!
Wszystko upadło i w przepaść runęło...
Wiara i cnota, i honor i męztwo!
Wszak pod Ruwre*) widziano jak kraju
Dobro, niestety prywaty i dumy
Pada ofiarą! — Haniebna to klęska
Pewnem zwycięztwem być miała mój Ojcze!
Świetna wygrana, porażka Anglików
Dzień ten zaszczytnie by dla nas skończyła,
Gdyby nie Klermont ten młokos nadęty
Siebie tak pewien.

Opat.

Słyszałem mój synu!
Wieść ta nas doszła w klasztornej zaciszy
Jakże to było?

Dunois.

Zapasy żywności
Bedford z Paryża słał oblegającym
Miasto Orlean, i Sir Fastalfowi
Oddał dowództwo. Nam Klermont na odsiecz
Zbierał swe wojska. Potrzeba mu było
Silnie uderzyć i znieść co do nogi

*) Rouvray.

Oddział Fastolfa. — Nie było to trudnem
Ja z Orleanu spieszyłem zagrodzić
Drogę Anglikom. Trza było odważnie
Natrzeć na wroga. Ociągał się Klermont
Dawał rozkazy by nieśmiał nikt zacząć
Żadnej bez niego utarczki z Anglikiem
Jednak napróżno... Zapału Gaskonów
Wstrzymać nie było podobna, ni Szkotów,
Fastolf tymczasem opatrzyć się zdołał,
Poznał pozycyą i skupił swe siły —
Ścisnął kolumny, sformował się w tabor
Wozy i konie palami otoczył,
Swoich łuczników przyczaił rozumnie...
Więcej cóż mówić?... toż wszystkim wiadoma
Nasza przegrana!... Odniosłem sam ranę
Która mi jeszcze dopieka w tej chwili
Męztwo Lahira, Sętralja, zaledwie
Wstrzymać zdołało zwycięzkie zastępy...
Klermont nadciągał w sam czas i mógł jeszcze
Pomścić porażkę!... Bóg jeden wie tylko
Czemu zaniechał!...! O nie tak bolała
Rana zjadliwa, mój Ojcze, jak hańba,
Że niedołęztwem i grzeszną rozterką
Głębiej znowuśmy zapadli w niedolę!
Że z przeważnemi siłami niestety!
Oddać nam przyszło zwycięztwo wrogowi
Wstyd to, sromota!...

Opat.

Pojmuję mój synu
Lecz i nauka na przyszłość zarazem.

Dunois.

Przyszłość, mój Ojcze!? (z goryczą)
Czyż przyszłość jest dla nas?

Opat.

Was że to słyszę, nasz wodzu szlachetny?

Dunois.

Ha! bo do czasu cierpliwość wystarcza!
Przecie na wszystko jest miara mój Ojcze,
Dzisiaj nie ludzie, sam Bóg nas opuścił
Świat się już kończy...

Opat.

Ej, potrwa on jeszcze!
Wieki któż zliczy?... Nie my to mój synu!
Sami Anieli wszak nawet w Niebiesiech
Świata skończenia okropnej godziny
Przeznać nie mogą... Więc bądźmy spokojni
Świat się nie skończy tak rychło jak zda się.

Dunois.

Chyba nie wiecie, że wioski i miasta
Z głodu, z powietrza wymarły srogiego
W ogniu spłonęły, od miecza zginęły!
Ludzi już niema!

Opat.

Powstaną znów synu!
Wzbudzić z kamienia wszak plemię Adama
Zawsze Bóg mocen — i w jednej godzinie
Więcej dać może, niżeli przez lata

Zabrać złość ludzka narodom potrafi
Miejmy nadzieję.

Dunois.

Nadzieję, mój ojcze?...
Od stu lat wszakże żyjemy nadzieją
W przyszłość szczęśliwszą i w koniec bied naszych
Ale z dniem każdym i ciężej i gorzej
Nam się tu dzieje! Napiła się zbrodni
Ziemia jak wody... i miara niecnoty
Się przepełniła! A dzisiaj karanie
Boże i pomsta tylko tu spada!...
Słusznie za przeszłość, za grzechy dzisiejsze
My pokutujem... ta wszakże pokuta
Win nam przymnaża, zaś zmazy nie gładzi.
O, to okropne! to zgrozą przejmuje
. . . .
Jak zapamiętam, mój Ojcze, straszliwe
Klęski spadały na ziemię mą biedną
Lata dziecinne krwią były zbryzgane
Mego rodzica... Co zdradą dokonał
Podły Burgundczyk, to zdrada pomściła.

Opat.

Zwykle tak bywa... za zbrodnią tuż zbrodnia!

Dunois.

Legł Jan bez trwogi! Delfina przyjaciół
Straszna ofiara! Lecz sprawy to naszej
Już nie podniosło z upadku srogiego!
Wiele lat było potrzeba Anglikom
Na przywłaszczenie Normandzkiej krainy

A śmierć Burgunda w dni kilka oddała
Francyę im całą!... Przez utwór szeroki
Zdradnie wybity w tej czaszce potężnej
Wdarł się wróg w serce tej naszej Ojczyzny,
Wojną domową zniszczonej i zdradą
Podłych przyjaciół... Niewidzę ratunku!
Wszystko już padło... i tylko Orlean
Klucz ten ostatni pięknego królestwa
Jeszcze się trzyma nadludzką potęgą
Ducha silnego... Lecz nawet cierpliwość,
Męztwo, odwaga i duch poświęcenia,
Kres swój mieć muszą! — Błagając pomocy
Gońca po gońcu do króla wysyłam...
Lecz król bez woli, energii i siły,
I bez pieniędzy... W dworaków swych gronie
Spija miód z kwiatów, na ciernie nie pomny!
Tylko rozkosznej oddany uciesze
Chwili obecnej, i senny na jawie,
Oczy zamyka i słyszeć nic nie chce
W tak opłakanym więc rzeczy tu stanie
Zkądże przyjść może nam pomoc żądana?

Opat.

Z Boskiej wszechmocy... i z naszej słabości!
(po krótkiem milczeniu)
Kiedy zło takiej dosięgnie już miary,
Że się ratunek być zda niepodobny
Wtenczas Bóg, który dał wolę człekowi
I na tej woli bezecne użycie
Długo już patrzał cierpliwie, spokojnie —
By świat przed czasem nie dobiegł do końca

Siłę objawia swojego ramienia
Bo się nic zgoła nie staje pod słońcem
Synu bez Niego i Jego zrządzenia!

Dunois (przerywając gwałtownie).

Jeźli więc chciał on i na to pozwolił
Byśmy tu wszyscy tak nizko upadli
Jakże by teraz przeciwko swej woli
Z toni tej znowu miał dźwignąć nas, pytam.

Opat.

Jego wyroków nikt jeszcze nie zbadał,
I nikt nie zbada do końca, mój synu!
Pytać niewolno; dla czego? lecz słuchać
Trzeba w pokorze i ducha skruszeniu
Idzie świat drogą, co mu ją wytknęła
Mądrość przedwieczna... Opatrzność to Boska!
Droga ta, synu, nie może być inną
Dla nas jak dobrą i zawsze najlepszą
Złe, bo nie może od Boga pochodzić!
Ale gdy naród zbłąkany już zboczy
Z drogi tej, którą iść było mu trzeba
Zaraz nań klęski spadają niechybne
Grzechu owoce i mnogich win skutki
Plony nasienia któreśmy niebacznie
Sami na żyzną zbyt rolę rzucili!
Nasze to dzieło!... I tak się też wyśpi
Każdy jak sobie kto łoże pościele
To sprawiedliwe! Lecz kiedy przeciwne
Bożym zamiarom zło górę zbyt weźmie
Kiedy zbyt w pychę podniosłszy się zechce
Sama już rządzić na Boga niepomna

Wtenczas Pan znowu Wszechmocny powstaje
Groźny potęgą i pomsty gromami...
I by świat zwrócić koniecznie na drogę
Jaką niebaczny zaniechał, porzucił,
Wzbudza człowieka lub zsyła Anioła
Który ramienia Bożego narzędzie
Światu zburzony porządek przywraca.

Dunois (z odcieniem ironii).

Ah, gdzież ten człowiek? gdzie Anioł ten z Nieba?

Opat.

Ujrzym go, synu, z pewnością i rychło

Dunois (z niedowierzaniem).

Zkądże ta pewność, mój Ojcze, powiedzcie?

Opat.

Spojrzyjmy do koła.
Wszystko już wiosnę zwiastuje tu blizką...
Liść się malutki na drzewach rozwija
Balsam w powietrzu i słodkie powiewy
Skrzepłą przyrodę znów budzą do życia
Wkrótce i do nas, do naszej Ojczyzny
Wiosna zawita!

Dunois.

Gdzież pewność?
(dzwonek klasztorny zaczyna zwoływać zakonników na modlitwę)

Opat.

Słyszycie?
Dzwonek nas woła... iść muszę do chóru!

Dunois.

Jeszcze chwileczkę, chwileczkę, mój Ojcze.

Opat.

Prawy zakonnik jak żołnierz powinien
Słuchać rozkazu bez zwłoki, bez żalu
Dzwonek to hasło klasztorne... więc idę...
Ani przystało wam chcieć mnie zatrzymać,
Wam mniej, niż komu.

Dunois.

Przyznaję wam słuszność.
Idźcież, mój Ojcze, gdzie woła powinność
Znam obowiązek.

Opat.

Więc z Bogiem, mój synu!
(dzwonek wciąż dzwoni, mnisi zewsząd spieszą do klasztoru Opat znika w krużganku.)

Scena IX.

Dunois (sam).

I cóż on przez to... cóż chciał mi powiedzieć?
Pojąć nie mogę!... lecz poszedł,... nie wróci!
(po krótkiem milczeniu)
Z Sziną*) co chwila wyglądam powrotu
Tutaj Lahira. — Raz jeszcze musiałem
Szczęścia próbować!... tak czekać bezczynnie
Kiedy Wulkanu wrą ognie pod nami
To niepodobna! Toż każda godzina

*) Chinon.

Sił nam odkrada! — A chwila za chwilą
Goniąc unosi nam środków ostatki!
Kiedy krew młoda gotuje się w żyłach
Możnaż spokojnie tak ręce złożywszy
Czekać i czekać? — Niech sobie czekają
Starce zgrzybiali... nam czynów potrzeba!
(znowu chwilka milczenia)
Może nareszcie król ocknąć się raczył...
Może wyjść zdoła z tej obojętności
W której zbyt długo już przetrwał, niestety!
Może krew przodków zagrała w nim wreszcie
Niegdyś do boju, do sławy tak skora!
Może zwrot jakiś szczęśliwy... Burgundczyk
Szalę znów zechce przeważyć na naszą
Stronę! Któż zdoła przewidzieć?... Fortuna
Zmienna, wszechmocny zaś Pan Bóg! Ufajmy
Słowom świętego człowieka! Gdy mówił
Oko pałało nieznanym mi ogniem
Wiarą w cud jakiś nadludzki... A jednak...
(chce odejść i spotyka się z Lahirem dążącym ku niemu z krużganku — obaj wracają na przód sceny).

Scena X.

Dunois, Lahire.

Lahire.

Znajduję was przecie, z Sziną przybywam
W tej chwili.

Dunois.

Nareszcie!
Cóż król? cóż rada? I jakie są wieści?
Dobre? cóż? mówcie!

Lahire.

Król przyjął łaskawie
Radby nam pomógł, powiada, lecz niema
Środków ku temu! W istocie skarb pusty,
Choćby zaś nawet i były zasoby
Klnę się na Boga, że dla nas on zawsze
Byłby zamknięty! Nic zrobić nie można! —

Dunois.

Mówcie mi wszystko dokładnie jak było.

Lahire.

Dobry monarcha rozczulił się wprawdzie,
Serce zbyt miękkie natura mu dała
Łzy nie kosztują... lecz na nich się kończy
Cały interes, i dług już spłacony...

Dunois.

Słabych umysłów zdawkową monetę,
Znam ją, znam dobrze, mój mężny Lahirze,
Skoro zapłaczą, już wszystko skończone!

Lahire.

Ha, skarz mię Boże! tak nawet się zdaje,
Że już znudzony król radby się pozbył
Resztek praw swoich do ojców korony,
Którą odzyskać zbyt trudno przychodzi.

Dunois.

Tego by brakło! tej jeszcze sromoty!
Chciałby z Anglikiem wejść może w układy!
I chleb łaskawy dla siebie wyjednać

Jak Izabella ta matka wyrodna,
Główna sprawczyni tej naszej niedoli!

Lahire.

Starym ja wojak, nie umiem przeniknąć
Dworskiej intrygi. — Niejasnej rachuby
Pojąć niezdolnym. — Otwarte mam serce!
Ale to pewna, że dłużej się łudzić
Nam niepodobna! Nikt o nas nie myśli
Padniem to padniem... pocieszą się łatwo
Może w skrytości nie jeden chce tego.

Dunois (ze zgrozą).

A więc Orlean ich nie obchodzi?!

Lahire.

Państwa interes tam troska ostatnia!
Miłość, zabawa, Agnieszka przecudna
Własnej korzyści ponętne widoki
Mądrej i biegłej w intrygi Jolanty...

Dunois (przerywając).

Ależ królowa! czy w Sziną jej dotąd
Niema i niema?

Lahire.

Na dworze poety
Króla i brata jej lepiej, weselej!

Dunois (z goryczą).

O białogłowy!

Lahire.

Te kwiaty czarowne

Tego padołu i życia ozdoba!
Cóż by tu bez nich?

Dunois.

Przestań! już dosyć,
Dosyć słyszałem.

Lahire.

Więc teraz już wiecie
Jaki jest skutek poselstwa mojego
Radzcie jak można ... na waszem ramieniu
Wszystko polega!

Dunois.

W ostatniej godzinie
Umrzeć potrafim, — w tem niema obawy.

Lahire.

Jam wasz do końca!

Scena XI.

Ciż sami i *Rycerz* zbrojny z obozu Francuzów.

Rycerz (przychodząc spiesznie tąż drogą co poprzedzający).

Mój wodzu szlachetny!
Widać ruch wielki w obozie Anglików
Grożą z okopów swych miastu naszemu!
Wszystko w perzynę obrócą niechybnie
Jeźli Wieżyczki*) w ich rękach zostaną.

Lahire.

A więc je zdobyć!

*) Les Fournelles.

Dunois.

Powiedzieć to łatwo

Rycerz.

Lecz to nie wszystko! jest inna nowina.
Dziwna pogłoska rozbiegła się w mieście. —
Niewiem jak mówić... jakoby dziewica
Jakaś natchniona młodziutka wieśniaczka
Z gór Lotaryngii z pod lasu białego
Przybyć nam w pomoc ma z Boga rozkazu...
Lud w nią uwierzył i pała nadzieją
Duch podniesiony.

Lahire.

I jakże tym baśniom
Wiarę dajecie?

Dunois (jakby uderzony myślą jakąś).

Dziewica... natchniona...
Pomoc cudowna... Jeźliby mąż Boży
Tę miał na myśli. Jeźliby słów jego
Takie prorocze być miało znaczenie
(po chwili)
Co bądź rozumieć o tem posłannictwie
Dziewicy z ludu (do rycerza) duch mówisz podniesion?
Duch wraca — ożył duch co w nas zamierał
Dobra wieść twoja — mniej pytam o resztę.

Lahire.

Ależ i w Sziną ja nawet słyszałem
Wieści podobne!... I cóż to dowodzi?
Oto, że tworząc lud sobie czcze mary

Szuka pociechy... lecz nam czy przystało
Jego iść śladem?... Nam w mieczu nadzieję
Tylko mieć wolno! Zwyciężyć lub zginąć!

Dunois.

Zginąć zbyt łatwo zaprawdę w tej chwili;
Chodźmy Lahirze, przekonać się trzeba.
(Gdy się wszyscy trzej, Dunois w pośrodku, zwracają, kurtyna zapada.)

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

Komnata królewska w zamku Chinon, *Karol* chodzi wsparty na ramieniu *Wilhelma Gouffier de Boissy.*

Scena I.

Karol, Gouffier.

Karol.

Tak, mój Wilhelmie! Wątpliwość ta straszna
Wszelką odbiera mi siłę, odwagę...
Radbym ostatki postawił na kartę
Gdybym przeniknąć mógł srogą zagadkę
(po chwili milczenia)
Na świat przyszedłem wszak właśnie w tym czasie
Kiedy zbyt ścisłe stosunki królowej
Matki mej z księciem i króla choroba
Usprawiedliwić aż nadto by mogły
Moje obawy. Lecz nigdy, przysięgam
Myśl tak bezbożna przyjść mi nie mogła

Gdyby nie traktat ów podły, haniebny,
Światu tak w oczy bezczelnie rzucony!
(z goryczą)
Delfin mniemany!! Tem słowem zabito
Tronu następcę!... Uznajesz sam w głębi
Twej duszy prawdę słów moich, bo milczysz...
Milczysz Wilhelmie!...

Gouffier.

Wybaczcie mi Panie
Myśl ma w tej chwili bujała daleko
Była w Paryżu przy owym obchodzie
Kiedy Winczester to dziecię zamorskie
Niby dwóch bereł prawego dziedzica
Twemu ludowi narzucał na pana.
Byłem tajemnie przytomny tej scenie
I nie zapomnę na wieki wrażenia
Jakie mi obraz ten w duszy zostawił;
Zimno śmiertelne do dziś dnia przenika
Mię aż do szpiku wspomnieniem tej chwili!
Ona pomściła zaprawdę was Panie
Marą, nicością smutnego tryumfu!
(Karol tymczasem usiadł na krześle i wsparł głowę na ręce, Gouffier przed nim stojąc mówi dalej)
Dziecię królewskie bladego oblicza
O mdłym uśmiechu i smutnej źrenicy
Wjazd odprawiało do Francyi stolicy.
Cisza grobowa zaległa dokoła
Żadnych okrzyków, ni żadnej radości
Wtem Izabella ukaże się w oknie
Jakby cień tylko dalekiej przeszłości
Babkę wskazano małemu królowi

Spojrzał posłuszny i czapki uchylił
By ją pozdrowić. — Królowa z swej strony
Pokłon oddała swojemu wnukowi
A odstąpiwszy zalała się łzami.

Karol (z goryczą).

Łzami?!... płakała?!...

(powstając z miejsca swego)

Płakała powiadasz!
Ha, któż przeniknie serc ludzkich tajniki!
Może duch męża, kochanka w tej chwili
Jej się ukazał i groźnem obliczem
Sądu Bożego przypomniał godzinę!
Może sumienie ozwało się... może
Syna los wzruszył nareszcie wnętrzności...
Może zbyt lichy zysk zbrodni przerażał
Ona płakała!... O gdybym mógł zbadać
Łez tych spóźnionych tajemną przyczynę

(z wielkiem przejęciem postępując naprzód)

Boże mych ojców, co widzisz skrytości
Myśli i serca aż do dna przenikasz
Jeśli mi z prawa należy dziedzictwo
Tronu, dopomóż, bym mógł je odzyskać!...
Ale jeżeli ta plama istnieje
Panie niewolą ni śmiercią mię nie karz
Tylko z Twej łaski mi pozwól szczęśliwie
Ujść do Hiszpańskiej lub Szkockiej krainy
Tam pod wdzięczniejszem zapomnieć daj Niebem
Troski, gorycze doznane za młodu
Pozwól nareszcie z twych darów największym
Życiem się cieszyć i żyć dla miłości!

Gouffier.

Miłość twa, Panie, jest kraju własnością!
Innym ją dając, krzywdziłbyś twój naród!...

Karol.

Naród! wciąż naród! I cóż ja dlań mogę
Mocarz bez państwa i król bez korony?...
Toż i najlichszy z mych niby poddanych
Prawo ma losem swym rządzić jak zechce
Królom ofiarę ich szczęścia obficie
Złoci majestat i dobro krajowe!
A ja nieszczęsny ni król ni poddany
Miałbym sam tylko nieść wszystkie ciężary
Obu tych stanów bez żadnej korzyści?...
Nie — nie Wilhelmie! Wielkości się wyrzec
Gotów dziś jestem, — tak losy zrządziły
Lecz najpiękniejszej z mojego narodu
Serce przynajmniej chcę całkiem poświęcić
I w zapomnieniu od świata całego
Który mię zawiódł, opuścił i zdradził
Szczęścia słodyczy używać w ukryciu
To mi się z prawa należy!

Gouffier.

O Panie
Serce królewskie popłaca na tronie
Miłość wygnańca, ta taniej się ceni...

Karol.

Nie znasz Agnieszki! Ta rzadka istota
Jaką w litości swej Nieba mi dały
Perłą jest kobiet! ta Pani piękności

Kocha Karola, o wierzaj, nie króla!
Niemasz ofiary tak wielkiej którejby
Dla mnie jej dusza wspaniała, szlachetna,
Ponieść z ochotą nie była gotowa
Tak jest!... nie wierzysz?... Ją samą zapytaj.

Scena II.

Ciż sami, *Agnieszka Sorel.*

Agnieszka (wchodząc z pospiechem).

Cóż to, mój królu? Wzruszonym was widzę?
Znowu was troska dotkliwa ugniata?
Zaś o Agnieszki serdecznem współczuciu
Nikt niepomyślał... nikt wezwać jej niechciał?
(Karol bierze jej rękę z czułością)
Toż dla niej szczęściem, pociechą jedyną,
Życia, istnienia jej całem zadaniem,
Chmury precz z czoła drogiego odganiać
Jakby złych pokus gnębiące zastępy
Gdy jej się uda pieszczoty i słowy
Uśmiech na usta królewskie wywołać
Ona szczęśliwa i więcej w tej chwili
Szczęścia zaprawdę już pragnąć nie umie
(z czułym wyrzutem)
A król zapomniał, że ona tam czeka
Zawsze gotowa na jego skinienie?
Król niepamięta, że wierna jej dusza
Każdą z nim troską ochoczo podzieli
Cóż was dziś trapi? powiedzcie mi panie
Może się na to wnet rada gdzieś znajdzie,

Karol (rozpromieniony).

Już się znalazła bo promień twych oczu
Wszystkie jasności tęczowe zawiera!
Jestże śmiertelnik co w obec tych czasów
Mógłby posępnym i zimnym pozostać.

Agnieszka.

Ach! to zależy od usposobienia
Wszakże znam ludzi innego w tem zdania
Lodów ich serca Agnieszki spojrzenie
Stopić nie zdoła (do Gouffiera).
Nieprawdaż mój Panie?

Gouffier.

Jeźli do wszystkich przymiotów twych Pani
Odgadywania też łączysz dar rzadki,
Tedy nie tajnym być ci musi powód
Który to serce okuwa w stal twardą.

Karol (wesoło).

Rady mu niedasz Agnieszko, to darmo!
Ale przyczynę ja lepiej przenikam
Więcej też chyba lubiłbym go za nią
Gdyby być mogło (do Gouffiera).
Lecz wierzaj mi druhu
Że dla każdego (wskazując pierś swoją).
Tu miejsce się znajdzie
Państwo mi zabrał najezdnik, to prawda!
Serce mi wszakże w całości zostało,
Zmieścić w niem mogę kochankę jedyną
I przyjaciela (biorąc każdego z nich za rękę)
A zatem niech będzie

Zgoda tu przy mnie, gdy wojna zażarta
Żarzy się indziej! (smutno) O, że też do tego
Wracać wciąż trzeba! Że straszne to widmo
Jakby miecz ostry nad głową mą wisząc
Wszelkiej pociechy pozbawia mię stale!
(do Gouffiera)
I masz mi za złe, że takiej męczarni
Chciałbym się pozbyć (wskazując Agnieszkę).
Że klejnot ten rzadki
Radbym gdzieś umieścić, by on mi już odtąd
Stanął za wszystko?

Gouffier.

Klejnotów zadaniem
Błyszczeć i ognie rozniecać do koła
Blask ich ukrywać przed kręgiem szerokim
Widzów olśnionych, to krzywdzić ich Panie!

Karol.

Słyszysz Agnieszko?

Agnieszka.

Wszak w morskich głębinach
Perły Oryentu rozkosznie się kryją
Serce co kocha nie pragnie widowni
Świata zimnego.

Karol (do Gouffiera).

A widzisz bluźnierco!

Agnieszka.

Ale dla króla mojego ja pragnę
Sławy, znaczenia, wielkości i chwały

Chcę dlań purpury i berła, korony
Chcę i przepychu i blasku dwornego
Chcę uwielbienia!... Co tylko dać może
Tronu pierwszego na świecie potęga
Królu z Burż*) miano mię draźni dla niego
I znieść nie mogę zniewagi okrutnej
I urągania gorżkiego w tem słowie.

Gouffier (do Karola).

Któż więc miał słuszność? czy król, czy ja sługa?

Karol.

Droga Agnieszko! aż nadto pojmuję
Twe oburzenie! Toż dla tej przyczyny
Życie obmierzłem mi było, dopóki
Ciebiem nie znalazł na drodze ciernistej
Dobra te, które tak szczodrze twe serce
Dzisiaj by chciało zlać na mnie biednego,
Radbym je posiadł, lecz na to jedynie
By u nóg twoich je złożyć z rozkoszą
Czemuż królewską związany niewolą
Która nam pęta narzuca na tronie
Skroń twą niemogę uwieńczyć koroną
Którąbym chętnie zdobywał w tym celu!
Tylko me serce ja oddać ci mogę
Tylko miłością za wszystko ci płacić
Ach! to zbyt mało, albowiem tyś wszystko
Wszystko Agnieszko mi chętnie oddała.

---

*) Bourges.

Agnieszka.

Serce twe Panie, za trony mi starczy!
Miłość Karola mam!... więcej nie pragnę!
Precz więc zwątpienie, o królu mój drogi!
Precz chęć niegodna ukrycia się w dali
Podnieść twe czoło schylone ku ziemi
Dumnie spójrz w przyszłość!... a ona uśmiechem
Wnet ci odpowie!
(do Gouffiera, który podczas ostatnich wynurzeń Karola usunął się na stronę.)
W tem przecież w was panie
Mam sprzymierzeńca? Nieprawdaż? będziecie
Mi pomagali?...

Gouffier (z dworską grzecznością).

Gdzie taka wymowa,
Wszelka tam pomoc naprawdę zbyteczna!

Karol (do Gouffiera i Agnieszki).

Taką kto przyjaźń posiada w niedoli,
Kwiatem kto takim poszczycić się może
Nazwan szczęśliwym powinien być choćby
Wszystko on zresztą postradał na świecie.
(podaje ramię Agnieszce jak gdyby chciał z nią komnatę opuścić lecz się spotyka z pp. Gaucourt i Thouars de la Trémonille.)

Scena III.

Ci sami, *Gaucourt* i *Thouars de la Trémonille.*

Karol.

Tuar*) Mistrz Dworu! Witajcie Panowie!
Widzę z min waszych, że jakieś są wieści.

*) Thouars.

Thouars.

Tak... z Orleanu są znowu posłowie!
Nie da pokoju nam wódz oblężony
Tylko co tutaj mieliśmy Lahira
Teraz Willara nam znowu przysyła.

Karol (z nieukontentowaniem).

Wszakżem już mówił, że żadnej pomocy
Dać im dziś w stanie nie jestem, na Boga!
Czegoż chcą jeszcze?... Czym stworzyć posiłki
Mocen z niczego? Jam człekiem, nie Bogiem.
Gdybym miał moc tę o jakiej się marzy
Ztąd oddalonym, toż byłbym w Paryżu,
W zamku mych Ojców, na tronie — nie w Sziną.

Thouars.

Celem poselstwa nie prośba tą razą;
Doszła aż do nich pogłoska co tutaj
Dawno już krąży, o jakiejś dziewicy
Która wybawić z Bożego rozkazu
Niby ma Francyę. Te oto gawędy
Wiernie by sprawdzić, ich do nas wysłano.

Gaucourt.

A zaś zrządzeniem zaiste dość dziwnem
Tu się z dziewicą tą właśnie zjechali.

Karol.

Jak to?... tu ona?... do Sziną trafiła.

Agnieszka.

O! toż mój królu ją chciejcie przywołać
Zaraz, natychmiast.

Gaucourt.

Po długiem wahaniu
Stary Bodrykur nareszcie się zgodził
Wysłać ją tutaj z nielicznym orszakiem
Wszakże po drodze zasadzka ukryta
W lesie napadła z nienacka podróżnych
Ujść by nikt żywcem nie zdołał z niej, gdyby
Cudem zaprawdę ich Bóg nie ocalił
Jakby złe duchy przed mieczem Anioła
Pierzchły opryszki na widok dziewicy
Ona zaś tutaj stanęła szczęśliwie
I by ją puścić przed króla was błaga.

Agnieszka.

Jakże wygląda?... Co mówi?... Ciekawam!...

Gaucourt.

Skromna, spokojna w swej całej postawie,
Wierzyć jej trzeba gdy na nią się patrzy.

Karol.

Oczarowała was widzę, mój mistrzu?
Lecz gdzież rękojmia, że oczy nie mylą?

Gaucourt.

Michał Archanioł i święte patronki,
Z nieba jak mówi jej głosy swojemi
Drogę wskazują. — W opactwie przesłano nam
Fierbua*) jakoby ukryty w ołtarzu
Miecz jest po który natychmiast posłano.

---

*) Fierbois.

Tym Katarzyna jej święta kazała
Zgromić Anglików... i jeźli się znajdzie
Miecz ten cudowny...

Thouars.

Zbyt skoro wierzycie!

Gaucourt.

Możeby łaska wysłuchać ją panie!

Karol.

Jeźli koniecznie tak oto wam chodzi...
(po chwili namysłu)
Ale wprzód pytam was moi panowie
Czy też przystoi, by Pan Bóg dziewicy
Sprawy polecał, jakiemi mężowie
Tylko się trudnią?... Czy zgadza się z Jego
Wielką potęgą, by on się zajmował
Sprawą jednego człowieka i losem
Kraju jednego?... A jeźli tak, czyby
Cudów nie winien powierzać Aniołom
Raczej niż ludziom ułomnym i słabym
Jestli teolog, któryby rozwiązać
Zdołał te kwestye?...

Gaucourt.

Jeżeli raczycie
Panie pozwolić, mniemałbym, że ojciec
Segię*) tu w Sziną obecny w tej chwili
Doktor uczony, profesor wszechnicy
Mógłby najsnadniej odpowiedź dać na to.

*) Séguin.

Karol.

Dobrze... niech przyjdzie, niech znajdzie się w sali
Kędy audyencyę dam waszej dziewicy —
Niech Orleańscy posłowie tam będą...
Salę oświecić jak można najpyszniej
I najwspanialej!... wszak na to nam starczy
Pono dziś jeszcze?... królewski Majestat
Niechaj zabłyśnie przed okiem olśnionem
Wiejskiej dziewczyny.

Agnieszka (z radością).

O, dzięki mój królu
Toż widowisko będziemy tu mieli
Istnie wspaniałe!... To wróżba, że wrócą
Lepsze nam czasy.

Karol (z westchnieniem).

Bogdajby tak było!
(odchodzi z Agnieszką a za nim dworzanie.)

Scena IV.

Służba dworska na małem podwyższeniu z lewej strony, na drugim planie ustawia krzesło królewskie i zapala światła, *Thouars de la Trémonille* i *Gaucourt* wchodzą z boku z prawej strony widzów.

Thouars.

Pojąć niemogę dlaczego wam oto
Chodzi tak bardzo, by król tej dziewczynie
Dał posłuchanie! Czyż mało nam jeszcze
Jednej Agnieszki?... Myślicie, że gdyby
Jakimś przypadkiem szczególnym i dziwnym

Udać się miało czem tamta nas łudzi
Król by nie oddał jej całą swą łaskę,
Ufność bez granic?... Że ona tu wszystkiem
By nie zawładła?... Że wpływ nasz na zawsze
By nam nie umknął.

Gaucourt.

Tak bardzo daleko myślą nie sięgam,
Lecz widzę w tej chwili kraj nasz
W sąsiada przemocy i zgubę
Już ostateczną, od jakiej nas dotąd
Zbawić nikt nawet nie myślał, aż oto
Głos się proroczy podnosi śród ludu!
Czemuż nie słuchać? cóż stracić możemy?

Thouars.

Wszystko, jeżeli nam łaskę naszego
Pana z rąk wydrze!...

Gaucourt.

Wybaczcie! mojego
Pana potęgę i sławę ja wyżej
Cenię niż łaskę... Lecz próżne to słowa!
Niema też o co tak bardzo się troskać
Strach was nawiedza przedwczesny.
(z lekką ironią)
Ryszmonta*)
Los was nie spotka, wierzajcie, z powodu
Wiejskiej zagrody prostego dziecięcia!
Wpływ ten niestraszny. — Dworaków zwyczajem

---

*) Richemont.

Łaski odpłacać podejściem, i dołki
Kopać pod tem dla których usługi
Swoje nieść mieli... nie takich prostaków!
Ale rozprawiać teraz nie pora
Służba mię woła, opuścić was muszę.
(ogląda salę i odchodzi tą stroną którą wszedł.)

Scena V.

Thouars de la Trémonille (sam).

Ha! i ja wiarę dać miałbym jak dziecko
Słowom dworaka takiego jak wszyscy
Których potępił?... Nie! w całej tej sprawie
Widzę ja wątek tajemnej intrygi
Gramy tu w kości... a stawka gry naszej
Łaska i ufność naszego monarchy.
(po chwili milczenia)
Byłem tak piękny plan sobie ułożył
A tu mi bruzdzą wzbudzone nadzieje
Teraz by można — w szczęśliwej godzinie
Coś wytargować! z łatwością by przystał
Anglik znużony na jakąś ugodę...
Która by wszystkim na dobre wyjść miała!
Pokój korzystny dziś dałby się zawrzeć
Praw do korony francuzkiej zrzeczeniem
Cóż po tych prawach gdy bieda doskwiera
Skarbiec gdy pusty a państwo zniszczone
W zamian zaś za nie pomniejszem dziedzictwem
Zabezpieczony król byłby już moim,
Moim zupełnie!... To wszystko zachwiane
Zbiegiem fatalnym spikniętych wypadków

Precz z tem dziewczęciem! precz z głupią pomocą!...
(przechadza się w zamyśleniu)
Przywiódł Ryszmonta złośliwym przytykiem
Wielki mistrz dworu w rozmowie na pamięć!
(śmieje się)
Każdy mój panie pracuje dla siebie!
Ludziom zawierzać nie dworska to mądrość
I nie daleko z nią człek tu zajedzie
By ją posiadał ten Ryszmą, którego
W twarz mi rzucono, cudzemi rękami
Pewnie kasztanów by nie brał z popiołu
Jeźli kto palców nie boi się przypiec,
To też i korzyść dla siebie zatrzyma!
Cnota, szlachetność, niepamięć o sobie,
Piękne to słowa zaiste nie przeczę...
Ale cóż po nich?... Na dudka nas one
Zwykle na świecie wystrychną i kwita!
Baczność, przebiegłość, cierpliwość i rozum
Więcej zaważą... Więc bacznie czekajmy. —

Scena VI.

Galeryą w głębi wchodzą panowie dworscy i panie i stają po obu stronach krzesła królewskiego, panowie bliżej sceny, panie bardziej w głębi. *Karol* prowadzi *Agnieszkę*, za nimi posłowie Orleańscy, *Jan Daulon* i *O. Séguin*. *Thouars* usuwa się na bok z prawej strony widzów. *O. Séguin* przy nim zabiera miejsce.

Karol (do posłów).

Oto nadeszła więc chwila żądana
Widzieć i słyszeć chcieliście panowie
Wnet też ujrzycie i namiestnikowi

Memu dobremu krewnemu powiecie
Oczy co ujrzą, usłyszą co uszy.
(spostrzegając Thouarsa)
Jesteś tu, dobrze! (wskazując mu krzesło).
Pójdź, usiądź tam!

Thouars.

Panie!

Karol.

Chcę tak i każę!

Thouars (zmieszany).

Na krześle królewskiem!

Karol.

Ona mię nie zna... jeżeli cię weźmie
Za mnie, zaprawdę dalszego badania
Można zaniechać!... Jasnego widzenia
Nikt jej nie przyzna! Panowie na miejsca!

(Thouars zasiada na krześle, posłowie stoją przy nim z jednej strony, Agnieszka na czele pań z drugiej, Karol miesza się między dworzany — chwila oczekiwania — *Gaucourt* wprowadza *Joannę* z prawej strony widzów, Joanna ma na sobie białą tunikę do kolan i stalową koszulkę, ale jest bez hełmu i pancerza. Chce iść ku tronowi, ale uczyniwszy parę kroków staje, patrzy chwilkę na Thouarsa, odwraca się ku panom dworskim idzie prosto ku Karolowi i zgina przed nim kolano. — Zdziwienie maluje się na wszystkich twarzach.)

Scena VII.

Ci sami, *Joanna, Gaucourt.*

Karol (podnosząc Joannę).

Kto ci powiedział?... zkąd wiedzieć ty możesz
Że to ja królem?... Któż jesteś?... Mów śmiało.

Joanna.

Miły Delfinie! Joanna na imię
Słudze niegodnej co stoi przed tobą
Lat osiemnaście mam wieku i jestem
Prostą pasterką, dziewicą ubogą.
Ale Król niebios przezemnie ci mówi
Że masz koronę i Sakrę otrzymać
W Rajmsie*) odwiecznym twych przodków zwy-
I namiestnikiem tu Jego już zostać!! [czajem
Bo on sam tylko Bóg Pan nasz jedyny
Królem jest Francyi... Król sługą zaś jego.

Karol.

Słowa twe dziwną wlewają otuchę
W serce me, bowiem! dawnom już dawno
(na stronie)
Boże, jeżeli jej słowom mam wierzyć,
Pozwól by prawda przez usta jej rzekła
Jak jest w istocie!
(odprowadza Joannę na sam przód sceny; zdziwienie między dworakami.)

Thouars (który opuścił krzesło królewskie na stronie).
Fatalny początek!

O. Séguin (na stronie też).
Słabość umysłu zaprawdę zbyt wielka!

Karol (do Joanny półgłosem).
Miła dziewico powiedzieć mi musisz

*) Reims.

(na stronie)
Jakże wyrażę jej moją obawę?
(do Joanny znowu)
Trwoga, niepokój miotają mą duszą
Jest tajemnica straszliwa, a może,
Może i plama...

Gouffier (na stronie).
Cóż ona mu powie?

Joanna.
Nie bój się Panie, zaprzestań wątpienia
Bóg ci oświadcza przezemnie nie mylnie,
Żeś ty istotnie jest Francyi dziedzicem,
Synem prawdziwym Karola szóstego.

Karol (zdziwiony).
Jakżeś odgadła co pytać się chciałem?
Jam nie wyraził wszak mojej obawy
Myśli przenikasz?... zgadujesz życzenia.

Joanna.
Słyszę ja tylko co mówi Bóg do mnie
On mi odsłania głąb rzeczy... ja widzę
Jego to sprawa, nie moja zasługa,
Można Mu wierzyć, głos Jego nie zwodzi.

Karol (z uniesieniem).
Wracasz mi życie!
(zwracając się do orszaku swego)
Wierzajcie jej wszyscy!
Ona zaprawdę posłanką jest nieba!

O. Seguin (występując naprzód z pokornym ukłonem).

Za pozwoleniem nasz królu i panie!
Nie tak to snadno jak zdawać się może
Prawda od fałszu rozeznać się daje
W ducha światłości czart nieraz się dzierżga
Aby nas ludzi usidlić, potępić...
(do Joanny)
Jeźli twym słowom dziś wiarę dać mamy
Iż rzeczywiście sam Pan Bóg cię zsyła
Uczyń znak jakiś... uwierzym ci wtenczas.

Joanna.

Jam tu nie przyszła, bym znaki i cudy
Chełpić się miała. Lecz ten co mię posłał
Wkrótce już prawdzie wyjść na jaw rozkaże
Dam znak gdy przyjdzie już chwila działania
Kiedy wybawię Orlean od wroga
Pójdę tam śmiało, byleby mi garstkę
Ludu zbrojnego na pomoc przydano.

O. Seguin.

Alboż to niewiesz, że niepozwolona
Rzecz jest niewieście tak walczyć na wojnie
Nawet obmierzłą przed Pana obliczem
Hufcom przywodzić po męzku przebrana.

Joanna.

Waszych ksiąg nie znam, lecz wiem, że przychodzę
W Pana imieniu i z Jego zlecenia
Kraj oswobodzić, — najezdców zwyciężyć
I w Rajms namaścić Karola siódmego!

O. Séguin (na stronie).

Zkąd jej ta pewność? zkąd śmiałość ta w mowie?

Karol.

Mów, a co żądasz na twoje usługi!
Zbroja, koń, cały rynsztunek wojenny,
Paź i giermkowie — a do twej osoby....
Przydan Jan Donla *) najstarszy z rycerzy!
(do Jana Daulon).
Was ja mianuję.... przystąpcie tu bliżej
(wskazując Joannę).
Wam ją polecam.

Jan Daulon.

Jak każesz się stanie. .
(Karol robi kilka kroków jak gdyby chciał odejść).

Joanna do Karola).

O mój Delfinie! śmiałości mej przebacz!
Słówko ci jeszcze rzec muszę na stronie.

Karol (zatrzymując się).

Śmiało i głośno, niech wszyscy cię słyszą!
Słowa twe złote i skąpić ich innym
Król niepowinien.

Joanna.

Słuchajcież mię wszyscy!
Ja wam przyrzekam zwycięztwo, lecz wiedzcie
Że sprawiedliwym Bóg tylko je daje
Czystych rąk trzeba i serca czystego

---

*) Jan Daulon.

Aby otrzymać co ujrzeć pragniemy
By kraj z wiekowej wybawić niewoli
Samym nam pierwej zwyciężyć się trzeba
Dziesięć przykazań dał Pan Bóg ludowi
Aby miał szczęścia dostąpić na wieki
Jest-że tu taki co śmiałby powiedzieć
Że przestąpieniem ich nigdy nie zgrzeszył?
Cudzym ktoż Bogom się codzień nie kłania?
Siebie na ołtarz kto codzień nie stawi?
Kto zaś się nie klnie? Bożego Imienia
Kto po sto razy daremnie nie wzywa?
Ojca i matkę i władzę kto wszelką
Czci jak należy? Nie będziesz zabijał....
Kto niezabija na duszy lub ciele?....
Szóste.... o Boże!.... Ach! szóste, niestety!

(Król spuszcza głowę.... Agnieszka się miesza.... niepokój maluje się na wszystkich twarzach).

Joanna (zwracając się do Karola).

Panie jak potok co z góry w dół leci
Tak zło i dobre na świat ten wciąż płynie
Tron, to jak słońce!.... a jego promieniem
Przykład co ludy zagrzewa do cnoty.

(po chwili milczenia błagalnie do króla)

Bądź tym przykładem.

O. Séguin (na stronie).

Któż śmiałość jej daje?

Karol.

Dosyć Joanna!

Thouars (z zadowoleniem na stronie).

Ha! miarę przebrała!....

Karol.

Czegoż chcieć możesz?

Joanna.

Niewidzę królowej!

(opuszcza smutnie głowę na piersi).

Karol (po chwili milczenia).

Każdy swojego pilnować powinien
Znam obowiązek królewski i zadość
Jemu się stanie w swym czasie — a teraz
Idźmy Panowie, przyspieszyć tę chwilę
Która ma ziścić nadzieję pokoju.

(daje uprzejmy znak ręką *Joannie* i odchodzi, za nim dwór cały oprócz *Agnieszki*. — Gdy się scena opróżniła *Joanna* stoi nieruchomie w głębokiej zadumie, *Agnieszka* zbliża się do niej powoli).

Scena VIII.

Agnieszka, Joanna.

Agnieszka (stojąc nieopodal Joanny i mierząc ją wzrokiem).

Któż ci dał prawo dziewico zuchwała
Sądzić to czego rozumieć nie możesz
Kto ci pozwolił tak hardo i śmiało
Rzucać kamieniem gdzie cześć ci przystało?...
Wiesz ty co życie, co walki, rozpacze
Szczyty samotne, tęsknoty wśród ludzi?
Wiesz ty co serce? miłości ponęty?...

Co namiętności, gorycze i szały?
I śmiesz wyrzucać tym błędy, zdrożności
Których nad tłumem sam Pan Bóg postawił?
O on łaskawy i sądzić inaczej
Będzie każdego z nas w swojej mądrości!...
Łatwo gminowi zachować się w cnocie,
Łatwo wam sądzić mocarzów usterki...
Lecz ty coś śmiała nam drogę wskazywać
Jest-żeś ty sama doprawdy bez skazy.

Joanna.

Tegom nie rzekła!... Uchowaj mię Boże
Takiej ślepoty i grzechu takiego!

Agnieszka.

A więc odwołaj twe słowa niebaczne
Uznaj w pokorze, żeś ciężko zbłądziła
Że za daleko poszedłszy w zapędzie
Króla majestat obrazą́ś skrzywdziła!
(Joanna stoi nieruchoma patrząc w ziemię.)
Nieodpowiadasz? i z dumą upartą
Oczy odwracasz i spuszczasz ku ziemi?...
Ależ spójrz na mnie... spójrz dobrze... a potem
Jeśli znasz serca... wyrokuj!...

Joanna (podnosząc wzrok na Agnieszkę).

O biedna!

Agnieszka (nieco zmieszana).

O, nie!... zbyteczną jest litość twa dla mnie
I niepotrzebne mi twoje współczucie!...
Wiesz-że kto jestem? — I wiesz ty co mogę?

Alboś w głąb serca mojego zajrzała! —
Pytaj tu wszystkich, a każdy ci powie
Czem jest Agnieszka!

Joanna (litościwie).

Owieczko zbłąkana!

Agnieszka (na stronie).

Patrzeć jej w oczy śmiałości mi braknie
Wzrok jej mię całą do głębi przenika.

Joanna.

Pani czem jesteś ja wiedzieć nie pragnę
Każdy za siebie przed Bogiem odpowie
Ale poprawy nam dzisiaj potrzeba,
A bez ofiary poprawy nie będzie.

Agnieszka.

Czegoż więc żądasz? uczynić cóż mamy?

Joanna.

Spytaj sumienia, a ono ci powie.

Agnieszka.

Mniemasz, że ztąd mię oddalić potrafisz?
Mniemasz, że króla odbierzesz mi serce?
Próżne to chęci i próżne złudzenie!
Ja nie ustąpię... tu muszę pozostać
Niby wybawić chcesz króla twojego
Niby mu służysz... a niemasz litości!
On nieszczęśliwy, on biedny, znękany,
Wszelkiej na świecie pozbawion podpory...

A tyś ostatnią, jedyną pociechę
Rada mu wydrzeć okrutnie w tej chwili!...
Trzeba go zagrzać do czynów, do chwały,
Trzeba go ratować, podźwignąć na duchu
Ja to potrafię, — nikt inny nie zdoła!
Nikt nie zastąpi mu jego Agnieszki,
Nikt go miłować jak ona niebędzie,
Ani królowa ni dworscy pochlebcy
Nikt, nikt, powiadam. Jam wszystko dla niego
(Joanna milczy ze spuszczonemi oczyma, Agnieszka mówi z coraz to większem wzruszeniem)
O, bo niemogę już dłużej powstrzymać
Uczuć wezbranych gwałtownej powodzi!
Chciałam inaczej, inaczej przemówić
Chciałam wyrzutów zasypać cię gradem...
Ale się wszystko (dotykając czoła) tu mąci, przewraca,
Myśli splątałaś mi jednem spojrzeniem!
Jak winowajca tu stoję przed tobą
Ja, ja Agnieszka, co skarcić cię miałam...
Ja się uniżam, jam błagać gotowa
Ach! bo ja kocham... nie wzdrygaj się na to!...
Nieznasz miłości... i wiedzieć nie możesz
Jaka w niej rozkosz i męka zarazem!...
Skromna dziewico, wymagaj co zechcesz
Wszystko, ach! wszystko uczynić gotowam...
Tylko nie tamto!... Ach jeźlić się zdaje
Złem to, toż pomnij, że z kwiatów zatrutych
Pszczółka miód zbiera... Ja pszczółką tą będę.

Joanna (z powagą).

Raczej na odwrot powiedzieć by trzeba
Z kwiata wonnego jad tylko wysysasz

Chwilki uciechy znikomej i grzesznej,
Która jak marna mgła rychło przeminie
Dzisiaj niebacznie opłacić gotowaś
Męki wiecznemi!... (łagodniej).
Miej litość nad sobą.
Zerwij te pęta!

Agnieszka.

Zaprzestań, nie mogę...

Joanna.

One cię wdziękiem, miękkością swą łudząc
Gubią dwie dusze!!

Agnieszka (walcząc wewnętrznie).

O Boże, mój Boże!

Joanna (z wielką słodyczą).

Siostro!...

Agnieszka (po chwili milczenia).

Joanno!

Joanna (łagodnie i zwolna).

Agnieszko kochana!...
(wyciąga ku niej ramiona, Agnieszka po chwili walki z sobą rzuca się w jej objęcia).

Joanna.

Tylko odwagi.

Agnieszka.

O módl się ty za mną!

(Agnieszka nagle się zrywa i spiesznie uchodzi galeryą w głębi. — Joanna patrzy za nią z żalem głębokim i odchodzi na prawo kędy była przyszła, — przez czas jakiś niema nikogo.)

Scena IX.

(Znowu wchodzi dwór cały jak przedtem, paź i giermkowie niosą pancerz srebrzysty, hełm i miecz, Jan Daulon sztandar z chorągwią zwiniętą białą w lilie szytą, na niej w środku wizerunek Boga trzymającego świat w prawicy, a z obu stron służący mu aniołowie z liliami w ręku, *Gaucourt, Thouars de la Tremonille, Gouffier de Bochy,* a na ostatku *Karol.*)

Karol (do swego otoczenia).

Miecz znaleziony na miejscu wskazanem,
A więc wątpienia żadnego już niema!
Gdzież jest dziewica?

Gaucourt.

Tu była przed chwilą.

Karol.

Idźcie odszukać i przywieść ją ku nam

(zasiada na krześle, Gaucourt czyni parę kroków na prawo kędy Joanna wyszła, spotyka ją wracającą i prowadzi przed króla).

Karol.

Przystąp tu bliżej dziewico wybrana!
Prawdą coś rzekła i nic już nie wstrzyma
Nas od rychłego ziszczenia twych chęci

Własnem ramieniem na bój ten stanowczy
Chcę cię uzbroić! — podajcie mi pancerz
(giermek z pancerzem przystępuje, Karol wkłada go na Joannę z pomocą Gaucourta i innych).
Hełm i przyłbica!
(drugi giermek podaje hełm, Karol wkłada go na głowę Joanny).
Niech skroń twą zachowa
Przeciw zamachom zdradnego Anglika!
Miecz tu podajcie
(przypasują miecz do boku Joanny, która przez ten czas jakby niewidziała co się z nią dzieje).
Niech w dłoni dziewiczej
Błyska on gromów postrachem dla wroga!
Przed nim niech pierzchną najezdców zastępy
Jak czarne chmury przed słońca połyskiem
(biorąc sztandar z rąk Jana Daulon)
Teraz zaś w ręce przyjm znak ten pod którym
Walczyć masz za kraj, za wolność, swobodę
Niech cię prowadzi, niech lilje zakwitną
Tam gdzie lamparty krwią ziemię zalały.
(Joanna obiema rękami porywa sztandar rozwinięty, z natchnionym wyrazem wpatruje się weń przez chwilkę, a potem mówi zrazu zwolna, a później z coraz to wzrastającym zapałem.)

Joanna.

O mój sztandarze, o godło zwycięztwa
Mój Zbawicielu, stróżowie Anieli
Wam się oddaję i z wami bezpiecznie
Grotom i strzałom nastawię pierś moją
Widzę o Boże wyroków twych cuda!
Mądre opatrzne twe zawsze zrządzenia!
Widzę co rozum niezdolny jest pojąć

Okiem co człowiek dosięgnąć nie wstanie
Widzę łańcuchy, na których misternie
Świat zawiesiłeś... w ich każdem ogniwie
Błyszczy czyn, kamień węgielny przyszłości
Tam zysk i szkoda tak dziwnie się plecie,
Że nie rozeznać co jedno, co drugie
Tu łzą się zdało, co perłą w istocie
Tam złem być miało, co szczęściem się świeci!
Widzę jak jasność też w ciemność się zmienia
I jak z ciemności znów światło wytryska.
Rzeczesz, a pada kto siłą się chlubił
Skiniesz, a wstaje kto leżał zdeptany
Boś ty Bóg cudów, Bóg pysznych pogromca
I Bóg litości, Bóg pomsty nad złemi!
Ty zło dopuszczasz... lecz palma męczeńska
Godłem tryumfu wybranych twych panie!

(wracając do spokojniejszego tonu)

Ale niewieściej słabości mej przebacz
Jeźli się wzdrygam na śmierci wspomnienie
Nie racz próbować nad siły me Boże!
Ludzi zabijać, ach! nie każ mi błagam
Niechcę ja miecza mojego używać
By krew bliźniego przelewać okrutnie
Nad to żelazo, nad zbroję tę świetną
Milszą mi stokroć chorągiew ma biała

(z zapałem)

Powiewaj nad krajem i hufcy naszemi
O mój sztandarze, mój znaku potężny
Powiewaj nad krajem nad ludy biednemi
Z góry jak obłok jak skrzydła Anioła

(do Karola)

Ty zaś łaskawy i miły Delfinie
Ujrzysz niebawem dni lepsze, na tronie
Ojców twych siędziesz i przodków koroną
Wkrótce już wkrótce uwieńczysz twe skronie.

(do towarzyszów)

Bracia! czas nagli

(do króla)

Zobaczym się w Rajmsie!

(odchodzi prawą stroną z chorągwią w rękach, za nią Gaucort, Daulon, paź i giermkowie. Karol zstępuje z podwyższenia i zbliża się naprzód jak odurzony).

Karol.

Sen to czy jawa?... złudzenie czy prawda?
Jeszcze dziś rano w ostatniej potrzebie
Teraz tu pełni nadziei i wiary!
Jakże się wszystko zmieniło tak rychło?
Jaki duch wstąpił w znękaną pierś moją?
Wszystko tu inną przybrało już postać
Wszystko już barwy oblekło odmienne
Niknie szał, prochy rozwiewa wiatr świeży
Jasny widnokrąg roztacza się wszędy
Dalej i dalej i wyżej tam w górę
Myśl się unosi w godniejsze dziedziny

(do Gouffiera)

O niepoznaję sam siebie doprawdy
Czuję inaczej, i widzę, że miałeś
Słuszność Wilhelmie... Król ocknął się we mnie.

Gouffier.

To najpiękniejszy dzień w życiu mem Panie!

(Karol odchodzi galeryą w głębi a za nim wszyscy.)

Thouars (odchodząc ostatni).

Wszystko stracone! odniosła zwycięztwo!

Zmiana dekoracyi.

Scena X.

(Pokój Agnieszki, — główne drzwi w głębi — inne wejście z lewej strony widzów, okno gotyckie z prawej strony. Agnieszka smutna zamyślona wchodzi zwolna z lewej strony, przed nią dworskie pachole niesie świecznik zapalony, stawi go na stoliku z boku i odchodzi.)

Agnieszka (przybita na duchu).

Niemam pokoju!... o światło nieszczęsne
Czemuś zabłysło przed oczy mojemi
I cóż ci potem, żem nagle zbudzona,
Straszną tę otchłań spojrzeniem zmierzyła?
Można bezpiecznie biedz brzegiem przepaści
Gdy nikt zasłony po nad nią nie zdziera...
Czemuż przejrzałam! . . . .
. . . . O święta ślepoto!
Tyś mnie w śnie złotym rozkosznie kołysząc
Winy aż dotąd dostrzegać nie dała...
Byłam szczęśliwą... skończyło się wszystko
Szczęście, swoboda, na zawsze zniknęły...
Czuję niestety, co rzucić bym winna
I co sumienie czynić kazało
Lecz cobymkolwiek. ach! wybrać musiała
Jedno i drugie to ból i męczarnia
Żądło gadziny śród kwiatów czarownych
Lub cierń bez kwiatów co serce kaleczy!
Nie, — niepodobna... nie... niemam odwagi!

Nie, ja nie pójdę, ja muszę tu zostać!
Panie! -- litości... litości nademną
Rozjaśń myśl moją, wskaż drogę pośrednią
O! jam tak słaba, nieszczęsna, znękana!
Niewiem co czynić... rozstrzygać nie umiem
Dodaj mi siły!... Ach gdybym mój Boże
Gdybym przynajmniej choć modlić się mogła!

(idzie do okna otwiera je, widać niebo gwiaździste, Agnieszka wspiera czoło na rękach i mówi zwolna zadumana)

»By kraj z wiekowej wybawić niewoli,
»Wprzódy nam samym zwyciężyć się trzeba!...
»Siebie zwyciężyć... a potem? o Boże!...
»Czystych rąk trzeba i serca czystego!!«
Słowa te słyszę jak echo złowrogie
Brzmią mi wciąż w uszach i w piersi i w duszy
Czystych niestety!... a moje?... a jego?...
Czemże ja jestem?... czem on być powinien?

(opuszcza głowę na piersi, słychać z podwórza tentent koni i gwar głosów ludzkich).

Cóż to za hałas? co znaczą te głośne
Ludu okrzyki o późnej tej porze?

(wychyla się i patrzy przez okno).

Hełmy, pancerze przy słabym gwiazd blasku
Blado migocą. — To ona odjeżdża...
Ona szczęśliwa, wielbiona i czysta!
Zbrojna jak rycerz, jak święta bezpieczna!...
A ja... ja tutaj... I ona go zbawi! —
Nie, nie dziewico! — Tyś sama to rzekła!...
Ty nic bezemnie wszak zrobić nie zdołasz
Ja chcę i mogę!... Ofiary ci trzeba?
Dobrze! — potrafię pokazać co zdoła

Miłość prawdziwa dla ukochanego
Pójdę doń zaraz i do nóg mu padnę
Prosząc, błagając, by puścić mię raczył!
Ludów swych szczęście i dobro narodu
Ceniąc nad serca własnego popędy
By się zwyciężył i wyrzekł Agnieszki
I żył już odtąd dla kraju, dla chwały...
A jej pozwolił w ukryciu, zdaleka
W celi zakonnej, lub dzikiej pustelni
Karmić się tylko tą myślą jedyną,
Że jej on winien koronę, tron, berło
Że się dla niego wszystkiego wyrzekła
Kochać tak umie, kto kocha prawdziwie.
Wszystko od razu poświęcić... a potem...
Potem... ha! przyszłość... niemyślmy dziś o niej
Krótkiem jest życie... i krótką męczarnia.
Teraz biegnijmy nie tracąc i chwili!
Czyńmy natychmiast co czynić potrzeba!
(Chce odejść głównemi drzwiami, spotyka się z Thouarsem.)

Scena XI.

Agnieszka, Thouars de la Tremonille.

Agnieszka (zdziwiona).

Wy tu margrabio? tu o tej godzinie?

Thouars.

Jeżelim natrętny.

Agnieszka.

Niemówię... jednakże

Thouars.

Widzę, żem przyszedł nie w porę, — wybaczcie

Agnieszka.

Co was sprowadza?...

Thouars.

Interes maleńki.

Agnieszka.

Czas drogi upływa
Mówcie, cóż mogłabym dla was uczynić?

Thouars.

Dla mnie? nic zgoła!.. Lecz spieszno wam pono.

Agnieszka.

Prawda margrabio... Na moim pospiechu
Wiele zależy... Ach! więcej nierównie
Niźli się komu zdać może, — albowiem
Jeźli w tej chwili nie spełnię com chciała
Jutro być może zapóźno.

Thouars.

Żałuję...

Agnieszka.

Cóż chcecie powiedzieć?

Thouars.

Dokąd spieszycie?

Agnieszka.

Do króla!

Thouars.

Do króla? —

Agnieszka.

Dziwnaż to?

Thouars (z dwuznacznym uśmiechem).

Pani!...

Agnieszka (z żywością).

Margrabio! powiedzcie
Co się tam stało?... Coś zaszło tam bowiem
Widzę to z miny, z słów waszych, z wszystkiego!
Mówcie... ach proszę... na miłość was Boską
Błagam, nietajcie przedemną... niestety!
Ja coś przeczuwam... tak... jakieś nieszczęście
Tak... tak... O teraz już czekać nie mogę
(do siebie samej z gorzkim wyrzutem)
A ja nieszczęsna, opuścić go chciałam.
(chce biedz, Thouars de la Trémonille zastępuje jej drogę.)

Thouars.

Pani, napróżno... zostańcie tu raczej
Król was nieprzyjmie...

Agnieszka (w osłupieniu).

Nie przyjmie mię Karol?
Co się wam roi?

Thouars.

By wnet was przekonać
(wyciąga z pod sukni papier na piersiach dotąd starannie ukryty).

Agnieszka (chwytając papier).

Od króla?

Thouars.

To dowód, że nie śnię.

Agnieszka (czytając z gorączkowym pospiechem.)

Cóż to jest? Cóż to?... nie mogę zrozumieć... —

Thouars.

Skutek po prostu tych wszystkich nowości,
Których się dwór dziś napatrzył do syta
A i nasłuchał!... Dziwicież się jeszcze?

Agnieszka.

Król mię oddala!... Król widzieć mię niechce
Żarty to chyba... O biegnę doń zaraz!

Thouars (zatrzymując ją.)

Trud to zbyteczny... rozkazy wydane...
Ja sam przeszkodzić bym musiał, jeśliby
Piękna Agnieszka na prawdę zechciała
Czarów swych mocy spróbować raz jeszcze...
(ze znaczącym wyrazem, kładąc nacisk na każde słowo)
Dworu widnokrąg dwom światłom nie starczy —
Ćmi się wżdy jedno, gdy drugie się wznosi
Gwiazda Joanny Agnieszkę strąciła!...

Agnieszka (gwałtownie).

Nie, to nieprawda!... Nie, to być nie może!
Nie, nie, nie wierzę!... To potwarz, to zbrodnia!
Puśćcie mię tylko... wnet prawdy ja dojdę.

Thouars.

Prawda, wszak świeci tu czarno na białem,
Pismo i podpis i pieczęć królewska,
Czegoż chcieć więcej? Jakiego dowodu?
W zamku odludnym zamknięta niestety!
Odtąd dni będzie pędziła, ta, która
Kilka chwil temu najpierwszą tu była
I najpiękniejszą wśród kwiatu piękności.

Agnieszka (przerywając mu).

Stójcie!... Ja sama opuścić dwór chciałam
Król mię uprzedził i wdzięcznam mu za to
Właśnie mą prośbę przedłożyć spieszyłam,
Gdyście nie w porę przeszkodzić mi przyszli.
Teraz więc idźcie... odnieście królowi
Moją odpowiedź... podziękę też moją,
Wprzód nim się jutro z królewskiej pościeli,
Raczy podźwignąć, nie będzie i śladu
Już tu Agnieszki (coraz bardziej poruszona)
Być może spokojnym
Już jej nie ujrzy, nie spotka... ni głosu
Jej nie usłyszy (z gorzką ironią)
Na świętym tym dworze
Tchnienie jej piersi gorącej i wiernej
Odtąd czystego powietrza nie struje
Idę, tak idę spokojna, niezgięta
Większa zaprawdę od tych co zwycięstwa
Nazbyt łatwego tryumfem się cieszą,
Spieszcie margrabio, poselstwo me spełnić.

Thouars.

Pani prawdziwie, twej duszy hart taki,
Istnym podziwem przejmuje mię dla cię!

Jak to? ni skargi, ni żalu słusznego...
Ani urazy?... Gdy jednym zamachem
Z szczytu wielkości strącona zostałaś?
A! niewiedziałem... lecz radość ztąd wielką,
Król niezawodnie swem sercem podzieli
On był zmuszony... zrozumieć to łatwo...
Ale tak lekko jak zdawać się może
Wdzięków Agnieszki zapomnieć nie zdoła!
Byleby chciała odzyskać stracony
Wpływ swój... ha! — kiedyś... cóż wiedzieć dziś
[można?
Wszystko wszak zmienne, i losów koleje
Zawrócić mogą fortuny twej koło!

Agnieszka (z dumą).

Dosyć margrabio, zostawcie mnie samą.
(Thouars kłania się nizko i odchodzi.)

Scena XII.

Agnieszka (sama).

Nizki dworaku! Naturo jaszczurcza!...
Alboż to mniemasz, żem ani spostrzegła
Jakeś się podle tu znęcał nademną?
Z jaką rozkoszą tyś pulsów mych bicia,
Śledził za każdem twem pchnięciem sztyletu
Dla was zazdrością toczonych dniem, nocą,
Rozkosz, gdy światło rażące was zgaśnie,
Słońce co wschodzi, to wasze bożyszcze!
Cześć bałwochwalczą niesiecie mu w dani
Lecz gdy się zaćmi (po chwili)
O straszne widziadło!

Ach, czyż być może?... tak rychła przemiana!
Jam wywalczyła ofiarę tę w sobie,
I krwią z pod serca oblałam ją całą...
A on bez walki... i z taką łatwością
Bez pożegnania... przez drugich... przez obcych,
Tak bez litości odepchnął od siebie
Serce tak wierne!... on kochał mię przecie!...
Kochał?... kochaniem czyż nazwać się godzi
Ten dym... tę marę... tę miłość królewską?...
Jeszcze dziś... przedtem... przed przyjściem Joanny,
Boże! czyż prawdą by było?... nie, nigdy!
Lecz jam wzgardzona... a ona na czele
Hufców!.. Jeżeli odniesie zwycięstwo...
(zamyśla się)
Ha! jam zrobiła już dosyć!... a teraz
Teraz do walki i z losem i z ludźmi...
Walka o serce, o cześć mą, o sławę!
Walka mej dumy o przyszłość mą całą!
Chciałam ustąpić z wspaniałej miłości,
Chciałam ofiarę z wszystkiego uczynić!
Lecz gdy mną rządzą, pomimo mej woli
I jak złamaną rzucają zabawkę,
Ja też potrafię wznieść czoło do góry
I mej potęgi dać dowód niechybny!
Odchodzę dzisiaj, zniewagą zelżona,
Lecz nie na długo... Ja wiem, że powrócę? —
(zasłona spada.)

Koniec aktu drugiego.

Akt III.

Oszańcowany obóz Anglików pod Orleanem. — W głębi widać okopy, bastyony, wśród nich kupy żołnierzy rozmaicie ugrupowanych — po obu stronach namioty — przed jednym z nich z prawej strony widzów trzech wojaków siedzi i gra w koście, trzech innych na około nich stojąc grze przypatruje się z zajęciem, — na stronie stoi paź Joanny smutny ze spuszczoną głową i skrzyżowanemi na piersiach rękami.

Scena I.

Gracz 1.

Za nim do boju nas trąba zawoła
Nudę i dalej grą sobie osłodźmy,
Wiwat! niech żyje gra losu ślepego.

Gracz 2.

Wierzę! gdy szczęście tak sprzyja?

Gracz 3.

To prawda.

Gracz 1.

Co tam! to tylko ciekawość mój bracie,
Co tajemnicę przeniknąć by rada,
Gonić nieznane, to nęci, zapala,
Zedrzeć zasłonę zeń rychło człek chciałby,
Cóż bo?... Kto radby znów ze mną się zmierzyć?

Gracz 2.

Raczej mów szczerze!... To chciwość po prostu

Pieniądz co w cudzej kieszeni cię nęci
Chcesz? no, jam gotów. —

Gracz 3.

Dotrzymam też placu!

Gracz 1.

Cztery!

Gracz 2.

Pięć!

Gracz 1.

Dziesięć!

Gracz 2.

Dwanaście!

Gracz 1.

Do krocset!

Gracz 3 (śmiejąc się)

Zdarta zasłona z nieznanej przyszłości!
No, masz czem płacić, — toż nikt z nas nieumiał
Jak ty się żywić łupami Francuzów!
Teraz ja rzucam (rzuca koście)
Trzynaście! — zła liczba!

Gracz 1.

Ha! sześć i siedem.

Gracz 3.

To znowu trzynaście!

Gracz 1.

Szczęście się waży... stoimy na równi...
Teraz ja wygram!

Gracz 3.

Zobaczym!

Gracz 1.

Niewierzysz? Pójdziem o zakład!

Pierwszy ze stojących (a za nim wszyscy).

O zakład! o zakład!...

Gracz 1.

Kto ze mną trzyma?

Trzej stojący.

Jak widzisz, my wszyscy!

Gracz 3.

Wygrasz, to stawkę ci każdy wyliczy
Przegrasz, każdemu zapłacisz z osobna.

Gracz 1.

Zakład nie równy!

Gracz 3.

Tem większy interes.

Gracz 1.

Więcej ja tracę!

Gracz 3.

I więcej wygrywasz.

Gracz 1.

Niech więc tak będzie!

Gracz 2.

Ciekawa gra.

Pierwszy stojący.

Baczcie!

Gracz 1 (rzucając koście)

Dwa... pięć!...

Wszyscy stojący.

To siedem!

Gracz 3 (rzucając).

A tu... jedenaście!

Gracz 1.

Goddam!... przegrałem!...

Wszyscy stojący.

Pieniądze?

Gracz 1 (rzucając sakwę ze złotem).

No, bierzcie!

Gracz 2.

Kieszeń twa, bratku, nabita zdobyczą,
To niezuboży! (rozbierają złoto pomiędzy siebie).

Gracz 1 (chmurno).

Do licha ciężkiego?
Alboż to czary? czy oko złe czyje?
(do pazia, który się grze przypatrywał z innymi)
Hejże ty chłopcze! Ty synu piekielny!
Co ty mi patrzysz? czy sztuka djabelska,
Twojej dziewczyny figle nam płatać,
Ciebie przysłała?

Paź.

Ej, Panie, toż wiecie
Że nie z mej woli ja pośród was goszczę
Z pismem przysłany do wodza waszego,
Tutaj przybyłem — a wyście przeciwko
Wszelkim zwyczajom i prawom narodów
Więźnia z posłańca pokoju zrobili!

Gracz 2.

Ty śmiesz tak mówić! Ty prawa wspominać.

Gracz 3.

Ty, ty, coś sługą tej dziewki przeklętej,
Która z nieczystym zawarła przymierze?

Paź.

Ona z złym duchem sprawę by mieć miała?
Ona? — toż pusty śmiech tu mię porywa.

Gracz 1.

Jużciż! dopóki nie było jej z wami,
Nieśmiał nikt z waszych oporu nam stawić,

Jakimże cudem dziś wszystko inaczej?
Alboż nie jawna w tem sprawa szatana?

Paź.

Wy to mówicie przy grze i przy hulance
Klnąc się rozpustnym zwyczajem żołdaków?
Wiecież jak ona w obozie tam rządzi?
Toż Armaniacy zaprawdę nie Święci!
Byli pierwszymi do przekleństw, nierządu,
O tem grzech mówić... to wilcy drapieżni!
Ona ich wszystkich w baranków zmieniła!
(Anglicy śmieją się.)

Paź (mówi dalej).

Kobiet szkaradnych już u nas ni śladu
Klątwy, bluźnierstwa, nikt więcej nie słyszy...
Znacie Lahira?... Spowiadał się stary...
I bił się w piersi ze łzami i żalem.

Pierwszy stojący.

Ha! to zaprawdę ciekawa nowina
Radbym był chłopcze tę spowiedź podsłuchał.

Paź.

Lecz, że pacierza zapomniał na wojnach
Wiecież jedynie jak modlić się zdołał.

Gracz 2.

Ha, ha... nauka ta, może się przydać.

Paź.

»Uczyń dla tego starego Lahira
Coby ów Lahir dla ciebie uczynił

Gdybyś był wodzem, on Bogiem zaś Panie!!«
Czy to szatańskie są sprawy, powiedzcie?

Gracz 1.

Dowiesz się rychlej niż życzysz podobno,
Skoro tu Glasdal cię każe powiesić...
On ceregieli nie robi, jak wiecie,
Będziesz rad nie rad, więc bodaj za chwilę,
Dyndał jak dzwonek na wieży kościelnej,
Ujrzym, czy wtenczas wybawić cię przyjdzie
Ta czarownica.

Inni (śmiejąc się)

Zobaczym, zobaczym.

1 stojący.

Ej, no słuchajcie... ja żartów nie lubię,
Znacie mię wszyscy, żem wojak po prostu,
Ja też słów moich dobierać nie umiem,
Kopią jak robić, orężem jak błyskać,
Jak łuk napinać, dzirytem jak ciskać,
To mi zabawą! W to graj mi do rana!
Ale się znęcać nad wrogiem bezbronnym
Nizki to tryumf, nie sprawa rycerska,
A więc, zaprawdę, urągać się temu
Chłopcu ja nie dam. Gdy wyrok zapadnie,
Ha! to cóż robić... Lecz teraz cóż winien,
Że go przysłano tu do nas z tym listem,
Skoro wódz każe, toż słuchać go trzeba
I my słuchamy Suffolka, Talbota,
A i Glasdala nieludzkich rozkazów...

Gracz 1 (zniecierpliwiony).
A do stu katów! toż całe kazanie!
Wróćmy do kości... odegrać mi dajcie!
Z chłopcem do djabła! — —

Gracz 2 i 3.
Do djabła! Do djabła!
(biorą się znowu do kości.)

Pierwszy stojący.
Stójcie! wodzowie nadchodzą, a wiecie
Z nimi nie żarty!

Gracz 1 (do pazia.)
Polecaj się Bogu.
(gracze powstają i usuwają z pospiechem stolik na stronę.)

Scena II.

Ci sami, Suffolk, Talbot, Glasdale.

Talbot.
Niema co mówić, trzymają się dzielnie.

Glasdale.
Chwalić ich za to was bierze ochota?

Talbot.
Taka wytrwałość ma cenę w mych oczach
Choćby wróg nawet, wart za to pochwały.

Suffolk.
W tem ja poznaję Talbota mężnego.

Talbot.

Liczyć zwycięstwa nawykliśmy tutaj,
Długich doświadczeń wiekowym zwyczajem,
Teraz zaś nagle...

Suffolk.

Ha! miasto zuchwałe
Tu nas wstrzymuje, czas drogi zabiera.

Glasdale.

Co tam czas? gorzej!... rozkazy nam dają,
Jakby panami tu byli!... zaprawdę,
Pomścić tę śmiałość przysięgam na Boga!
Skoro Orlean już w ręce nam wpadnie,
Plemię to harde wytępić należy...
Wyrżnąć w pień starce, kobiety i dzieci,
We krwi zatopić kraj cały...

Talbot.

Zbyteczna,
Kraj już bez tego ruiną, szkieletem,
Jarzmo, niewola, we znaki się dały!

Glasdale.

Ziemia to nasza, posiadłość Angielska!

Talbot.

Toście mówili mężnemu Salisbury,
Miasto wskazując jak zdobycz niechybną,
Wszakże nim wzrokiem ogarnąć je zdołał,
Padł i na zawsze wnet zawarł powieki!

Glasdale.

A więc tem bardziej nam pomsty dziś trzeba,
Chcecież im oddać co nasze?

Talbot.

Któż mówi?
Talbot? Nie sądzę!

Suffolk.

Co wzięte, trzymamy!
I nikt nie wydrze nam naszej zdobyczy!

Talbot.

Ale mylordzie, to miasto nie wzięte...

Suffolk.

Musi być naszem! zaprawdę dość złego,
Że nie szturmować dziś, bronić nam trzeba
Naszych okopów i szańców!... Wieżyczki
Dzielna warownia!... Tam siły trza skupić,
Oni niechybnie tam na nas uderzą
Z całym zapałem... bo zapał się znalazł,
Czy to moc czarów, czy sztuka djabelska,
Ja w to nie wchodzę... niech myślą co zechcą,
Ale to pewna, że odkąd ta dziewka
Im przewodniczy... ich żołnierz się podniósł,
A nasz wyznajmy, nasz upadł na duchu.

Glasdale.

Mniemam inaczej, lecz dobrze, żem wspomniał,
Gdzież jest wysłaniec tej dziewki przeklętej?
(ogląda się, wojacy ugrupowani około pazia rozstępują się, Glasdale spostrzega go)
A tuś paniczu!... zbyt długo czekałeś,
No, no, wyprawim cię zaraz... do kata!
(do wojaków stojących na stronie)
Dalej, do rzeczy (wskazując okopy w głębi)
Rozniecić ognisko!
Wrzucić w nie chłopca natychmiast... słyszycie?!
Sprawę ma z czartem, niech idzie w płomienie!
Stos odpowiedzią na list, jaki przyniósł.
(dwóch wojaków przystępuje do pazia i kładzie ręce na ramiona jego.)

Paź (wznosząc oczy w górę.)

Ratuj mię Pani, dziewico kochana!
(uprowadzają pazia, lecz w tejże chwili z głębi sceny nadbiega żołnierz z listem i wręcza go Suffolkowi.)

Żołnierz.

Oto list z łuku wraz z strzałą rzucony,
Nam do okopów, z obozu Francuzów!
(prowadzący pazia zatrzymują się.)

Suffolk (otwiera list).

Znowu od dziewki!... jest krzyżyk u spodu!
(czytając głośno)
Chcecie więc wojny?... będziecie ją mieli!
Jam ostrzegała was naprzód przyjaźnie,
Bo krwi bliźniego przelewu nie chciałam.

Glasdale.

Smiałość bezczelna!... Jej przyjaźń!... Nikczemna!

Suffolk (czytając dalej).

Jeśli mię w ręce wam złapać się uda,
Spalić możecie, gdy chęć was nawiedzi,
Ale posłańcom mym dajcie już pokój...
Pazia natychmiast żywego mi wróćcie.

Glasdale (grożąc w stronę miasta).

Wspomnisz te słowa!

Suffolk.

Nie na tem też koniec
Oto i wódz ich odzywa się także
Grożąc odwetem na jeńcach angielskich,
(do trzymających pazia)
Puścić pacholę, niech wraca do domu!
(do pazia)
Uchodź!... lecz jeśli cię pojmiem wśród boju...
Pomnij... natenczas nie ujdziesz złej doli!

Paź (wznosząc ręce)

Dzięki ci Panie!... To cud twej dziewicy!
(spiesznie odchodzi.)

Glasdale.

Tysiąckroć jasnych piorunów mylordzie
Widzę, że czary działają aż tutaj!

Suffolk.

Spory płonnemi nie dajmy się odwieść
Od obowiązku co na nas włożony,
Żart tu niewczesny.

Glasdale.

Wyzywam cię piekło!
(idzie w głąb sceny i wraca znowu.)

Drugi żołnierz (nadbiegając od okopów).

Wodzu! Francuzi z bram walą a walą...
A na ich czele dziewica w pancerzu,
Jasnym jak słońce!... Tu prosto zmierzają
I jednocześnie dwie inne reduty
Nasze szturmują.

Suffolk (z flegmą).

Rozkazy wydane
Anglik powinność swą zawsze i wszędzie,
Spełni jak trzeba. O tom jest spokojny.

Glasdale.

Biegnę miecz stępić na karkach zuchwalców!
Biada każdemu, co w drogę mi wejdzie
(odchodzi spiesznie ku okopom a za nim wszyscy oprócz Talbota i Suffolka.)

Suffolk (patrząc za nim).

Tęgi wojownik, lecz głowa gorąca,
Straszno zapędem, by czego nie popsuł!

Talbot (w zamyśleniu).

Życie ważyłem w niejednej potrzebie,
Nieraz ze śmiercią widziałem się z blizka!
Z królem Henrykiem bywałem na wojnach,
Pod Azękurem*) walczyłem zwycięzko...
Ale wyznaję dziś w obec tej garstki,

---

*) Azincourt.

Dziwnem wrażeniem przejęty się czuję,
To nie obawa, — ja bać się nieumiem —
To jak przeczucie rozbratu z przeszłością.

Suffolk.

Czarne te myśli odrzucić wam trzeba!
Losu odmiany nie widzę powodu...
Cały wiek z nami! Fakt kłamać nie umie,
Oni zgnieceni... my stoimy górą! —
(obaj odchodzą ku okopom w głąb sceny. — Słychać zdala gwar bitwy, huk strzałów, szczęk broni — przez czas jakiś na scenie nie ma nikogo.)

Scena III.

Dwóch giermków prowadzi z głębi sceny ciężko rannego Anglika, żołnierz angielski zaś równie rannego w niewolę wziętego francuzkiego rycerza.

Anglik (z wysileniem).

Wiwat, Brytania, jej oręż, jej sława!
Wiwat, niech żyje!... gdy za nią umieram!
(giermkowie sadzają go tam, gdzie wprzódy grano w koście i opatrują ranę jego.)

Francuz (przerywaną mową).

Za nią?... cóż grozi Brytanii szczęśliwej?
Czy wróg jej łany pustoszy, wysyssa?
Naszliście na nas chciwością wiedzeni...
Pocóż iść było?... gdybyśmy za morze...
Do was płynęli... jakimże przyjęciem,
By nas witano na waszych wybrzeżach?
Słusznie zaprawdę... i dobrze by było.
Cóż by nam do was?... A was co sprowadza?...

Czyżby nie lepiej... jak dobrzy sąsiedzi,
Sobie dłoń podać... i zgodnie... w przyjaźni,
Jak Bóg przykazał... ku wspólnej korzyści,
Odtąd żyć z sobą?... niż ciągle tak w wojnach,
Resztki sił tracić!... krew bratnią przelewać.

Anglik (z trudnością).

Jam też rad dożyć sędziwszych lat... ale...
Czyjaż to wina, że zgody tu niema?
Czemuż się poddać nam dotąd wzbraniacie,
Czyż wam nie jedno... kto u was panuje?
Karol czy Henryk?... Anglicy... Francuzi,
Byle mieć pokój... i spocząć nareszcie?...
Samiście winni, że źle się wam dzieje,
Winą... wasz opór... stawiony zacięcie,
Winą... krew nasza... co tutaj wciąż płynie.

Francuz (coraz słabszym głosem).

Lepiej powiedzcie... w szczerości zupełnej
Winą, że żyjem uparcie i twardo
Winą, że zniknąć ze świata nie możem,
Że się trzymamy... ojczystej ziemicy,
Co nas jak matka... tuliła... do łona,
Lecz śmierć i życie od Boga pochodzą...
Z nim się rozprawcie...

Anglik.

Godzina ta... blizka!
W oczach mi ciemno... świat znika... na wieki!
(giermkowie biorą rannego Anglika pod ramiona i uprowadzają do namiotu.)

Francuz.

Zgoda wnet będzie... gniew z życiem ucieka!
(wlecze się chwiejąc też do namiotu z pomocą żołnierza, słychać większy gwar od okopów, giermkowie i żołnierz po chwili wracają z namiotu.)

Żołnierz.

Tylko sam Pan Bóg im chyba pomoże.

Giermek 1-szy do 2-go.

Ty tu zostaniesz przy biednym panisku,
Żeby choć wody mu podać w ostatku...
Ja zaś tymczasem pobiegnę go pomścić!
(chce odejść, wpada na scenę ten z wojaków angielskich, który stojąc, przypatrywał się grze i ujął za pazia.)

Wojak.

Co tu stoicie, gdy wre tam bój krwawy!
Wzięta reduta od krzyża świętego!
Wszędzie ją widać, dziewicę tę straszną,
Naprzód i naprzód wydziera się zawsze!...
Żołnierz jej tchórzył, na wały iść niechciał,
Bośmy przyjęli go gradem nie lada!
Ona wnet sama drabinę przystawia...
Wszystko znów leci do szturmu zawzięcie!
Z innej też strony odparci Francuzi,
Już do odwrotu sposobią się w pędzie...
Ona to widząc, most zrywa za nimi!
Znika... znów wraca, a gdzie się ukaże,
Tam wnet do koła ćmy naszych padają!..
(słychać przeciągły radosny okrzyk za okopami.)

Giermek 1.

Cóż to?

Wojak.

Co słyszę?... Nie wierzę mym uszom
Toż to tryumfu wielkiego oznaka!

Dużo głosów w dali.

Padła dziewica!... w dziewicę trafiono.

Wojak.

Bracia! Słyszycie? Zwycięztwo... Zwycięztwo
(wybiegają wszyscy pędem ku okopom.)

Dekoracye się zmieniają.

Scena IV.

Ciasne ustronie otoczone skałami, pomiędzy któremi w głębi sączy się strumyk. Dunois wchodzi z prawej strony niosąc na rękach swych zemdloną Joannę, powyżej jej łona z lewej strony sterczy strzała utkwiona w jej ciele, za nim Daulon i paź Joanny.

Paź.

Panie!... umiera!...

Dunois (składając Joannę ostrożnie na występie skały z lewej strony widzów i pochylając się nad nią ze współczuciem).

Joanno! Joanno!

Daulon.

Trzeba hełm odpiąć!
(zdejmują hełm z głowy Joanny.)

Dunois (do pazia).

Tam źródło widziałem!...
Wody czem prędzej... ocucić ją trzeba!
(paź z hełmem Joanny bieży do źródła.)

Daulon (żałośnie).
Być że by mogło?... Tak rychło ją stracić!

Dunois (do Joanny zawsze zemdlonej).
Miła dziewico!...

Paź (wracając z wodą).
Oblejcie jej skronie.

Daulon.
Może grot wyjąć?

Dunois (wstrzymując go).
Z tem trzeba ostrożnie.

Paź (wpatrując się w Joannę na klęczkach).
Wraca do życia... już oczy otwiera.

Dunois.
Bogu niech będzie stokrotna podzięka.

Joanna (zwolna wracając do przytomności).
Cóż to?... gdzie jestem?... Anglicy pobici?
(patrząc do koła na otaczających ją)
Bój był straszliwy... Cóż tutaj robicie?...
Coś mi się marzy... gdzie koń mój... chorągiew?

Dunois.
Ranę odniosłaś...

Joanna (spostrzegając strzałę utkwioną w ciele swem i podnosząc się na wpół)
To strzała angielska! (wyrywa ją gwałtownie i precz odrzuca, krew bucha z rany, na widok jej Joanna chwieje się.)

Dunois (z niepokojem).

Słabniesz Joanno?... ból srogi przejmuje?

Joanna (wskazując na pierś swą).

Gorszy ból tutaj!... krwi zlękłam się tylko!

Daulon.

Można skutecznie zamówić ją zaraz...
Płynąć, zaręczam, natychmiast ustanie!

Joanna (ze zgrozą).

Boże uchowaj, tak czynić nie wolno!...
Gusła to grzeszne i czary wyklęte.

Dunois.

Ale ta rana głęboka... ach powiedz...
Powiedz dziewico nie na śmierć Ci ona? —

Joanna.

Umrzeć mi trzeba, wiem o tem, lecz kiedy?
Bogu samemu to tylko wiadome.

Dunois.

Ach! lżej oddycham.

Daulon.

Żyć będzie!

Paź.

O chwała Panu naszemu.

Joanna.

Lecz mówcież mi proszę,
Jak się skończyło tam w polu? wszak nasza,
Nasza wygrana?

Dunois.

Niestety!

Joanna.

Co słyszę?

Dunois.

Padłaś raniona, to tryumf dla wroga.

Joanna.

Ha! i wy tutaj?...

Dunois.

Tyś naszym sztandarem.

Joanna.

Boże! ach przebacz!... A moja chorągiew.

Daulon.

Jeszcze trzymała się w polu przed chwilą.

Joanna.

A nieszczęśliwi!... więc dla mej osoby,
Zapominacie o sprawie najświętszej?
Mam-że wam zawsze to samo powtarzać?
Nie rozumiecież więc prawdy tak prostej?
Czemże ja jestem?... Narzędziem najlichszem!
Jeźlim potrzebna, to on mię ocali,
Jeźli mam zginąć, zwycięży bezemnie!
(patrząc w górę)
Święte patronki!... ach! do mnie, tu do mnie!
Pomoc nam wasza koniecznie potrzebna,
Ach, przychodzicie!... jesteście już... dzięki!...
Widzę was... słyszę... i biegnę do boju!...

Dunois (powstrzymując ją).

Rana!...

Joanna.

Nie boli... zgojona w tej chwili!...

(chce iść, na scenę wpada oddział uciekających Francuzów, za nimi giermek Joanny ze spuszczoną chorągwią.)

Pierwsi z uciekających.

Anglicy górą!... — Uchodźcie ztąd prędzej.

Joanna (zabiegając im drogę).

Stójcie nieszczęsni! O, biadaż mi biada!
Takim-że tchórzom przywodzić dziś muszę?
Za mną, kto godzien jest nazwy rycerza!
Za mną, choć w ogień, Bóg da nam zwycięztwo!

(wyrywa sztandar swój z rąk giermka i spiesznie odchodzi prawą stroną jak przyszli, — za nią Dunois, Daulon, paź i wszyscy inni.)

Chór napowietrzny, jak w pierwszym akcie:

Idź córko nieba,
Idź, gdzie potrzeba,
Wierny wybawić lud!
Gdzie cię Bóg woła,
Dziecię Kościoła,
Tam niczem i ból i trud!
Niech ci pomogą,
Podążać drogą,
Niezwykłą dla Ewy cór,
Boś ty wybrana,
W obliczu Pana,
I z tobą Aniołów Chór!

Scena V.

Talbot z jedynym tylko giermkiem wchodzi znękany i znużony.

Talbot.

Stało się... tak jest... Orlean swobodny!
Wielka porażka!... wieżyczki zdobyte!
Glasdal nasz zginął!... Nad rowem głębokim,
Z wątłych beleczek był mostek rzucony —
Widzę Glasdala... w odwagi zapędzie,
Bieży nań rychlej, by wroga dosięgnąć...
Uszedł już kilka tam kroków, — w powietrzu
Postać się jego nad wodą rysuje,
Nagle w połowie tej drogi się wstrzyma,
Chwieje się, spada... i marnie umiera,
Stary zaś Talbot dzień przeżyć ten musiał.

Giermek.

Panie, nie dziwna! Archanioł był z nimi,
Wszyscy to mówią... on walczył w obłokach!

Talbot.

Wieku całego, zapasów szczęśliwych
Wojen, tryumfów, powodzeń i zwycięztw,
Owoc, ta chwila niweczy!... O królu,
Któryś tę wojnę otrzymał w spuściznie,
I tę nienawiść narodów pomnożył,
Tylą podbojów i krwawych ucisków...
Przebacz nam z grobu dzisiejszą zniewagę,
Przebacz nam krzywdę twojego oręża!
Przebacz, gdy dzieło twych starań i znojów
Dzisiaj zniszczone, że jeszcze żyjemy!
Ale nie ludzka zwalczyła potęga

Nasze sztandary!... Nieznana moc jakaś
Nas zwyciężyła!... z nią mierzyć się w polu,
Walka to była zaprawdę, nierówna,
Jest tam u góry silniejszy i mędrszy,
Dalej widzący pogromca i mocarz,
Z nim się rachować każdemu potrzeba,
Bo jak on zechce tak tylko się stanie!
Chciałeś dziś wstydu naszego i hańby,
Panie!... gdy wziąłeś nam sławę rycerską,
Bierz-że i miecz mój!...
(łamie szablę swą i rzuca jej szczątki o ziemię.)

Giermek (z przerażeniem).

O wodzu z walecznych
Najwaleczniejszy!... Bóg pomści nas jeszcze,
Szkoda tej szabli! lecz teraz uchodźmy...
Oni nas gonią, dostrzegli nas pewnie,
Słyszę zbliżanie się zbrojnych w tę stronę.

Talbot (z goryczą).

Talbot przed dziewką uchodzić zmuszony!!
(wchodzą obaj lewą stroną.)

Scena VI.

Lahire wpada zapalczywie na scenę za nim Joanna, Dunois, Daulon, paź, giermkowie, rycerze.

Lahire.

Gdzież on? gdzie Talbot? przysiągłbym, że tutaj
Pojmę go żywcem! — Umknęła im zdobycz!

Joanna (łagodnie).

Dosyć na dzisiaj nam szczęścia i chwały
Niech on uchodzi... zwycięztwo zupełne!
Bóg obietnicy zaprawdę dotrzymał,
Spora połowa roboty zrobiona!
(zwracając się do Dunois'a.)
Żeście tak chętną pomocą mi byli,
Za to wam dzięki wodzowie szlachetni!
Wiem, że nie każdy mym słowom uwierzył,
Wiem, że niechętnie nie jeden się stawił,
Ale gdy dzieło zbawienia ziszczone,
Nic już wyrzucać nikomu nie wolno!...
Jedno mię tylko w tej chwili zasmuca —
Boleść w radości me serce ugniata!
Tej krwi strumienie, te ciała bez duszy,
Ranni, polegli, pomarli w katuszy,
Nierozgrzeszeni i nie zasileni,
W tej wielkiej chwili stanowić mającej,
O życiu przyszłem nie znającem końca.
O, jak to boli!... Jak myśl ta przeraża,
Że los ten straszny spadł na nich z rąk naszych!
(ukrywa twarz swą w dłonie.)

Dunois.

Nie płacz Joanno... to wojen los zwykły,
Krew ta, ten widok, co ciebie przejmuje,
Ceną jest męztwa i zwycięztw zapłatą,
Tylko tam rosną sławione wawrzyny
Gdzie grunt posoką bliźniego zroszony!

Joanna.

Boże, skończ rychlej, tę wojnę nieszczęsną,

Daj nam twój pokój... swobodę ojczyznie,
(po chwili głębokiego skupienia z zapałem)
Teraz zaś bracia... Do Ręsu, do Ręsu!!
(Joanna stoi między Lahirem i Dunois'em, za Joanną Daulon z jej sztandarem i paź. — Po obu stronach giermkowie i rycerstwo. — W chwili, gdy Joanna wymawiając ostatnie słowa zwraca się, jakby iść miała, zasłona spada.)

Koniec aktu trzeciego.

Akt IV.

Reims, z przodu plac przed katedrą, katedra w głębi, po obu stronach placu domy wysokie średniowiecznej architektury, na scenie zgromadzony kupkami lud. W chwili, gdy się zasłona podnosi, przy odgłosie marszu, resztki orszaku koronacyjnego wchodzą do kościoła i znikają w jego wnętrzu.

Scena I.

Mąż w sile wieku (z grupy najbliższej widzów).
Chwałaż więc Bogu! To król już prawdziwy!
Mamy go przecie! Toż radość niezmierna!
Nasz pan, nasz własny, a nie obcy żaden,
Będzie do kogo się udać w potrzebie!...
Długośmy na to, co prawda czekali,
Kraj był sierotą... i gorzej daleko
Rządy macosze, czuł biedny nad sobą!
Teraz zaś, choćby król nagniótł nas trochę,
Bo cóż bez ale? — człowiekiem on przecie,
Nie żal i znieść coś, gdy wie się dla kogo,
Ale gdy obcy zdzierali z nas skórę,
Chlebem się naszym i winem tu pasąc,

Ciężko głód było ponosić rodzonym
Dzieciom tej żyznej, — rozkosznej krainy!

Młodzian.

Ale król przecie, król będzie nas kochał...
Bóg tak przykazał, nieprawdaż mój Ojcze?
Naród dziecięciem mu, synem najdroższym,
Wszakże król ojcem jest swoich poddanych.

Mąż.

Tak niezawodnie! I tak być powinno!
Na to Bóg panów wywyższył na ziemi,
By Opatrznością tu byli maluczkim!
Ciężko nas, ciężko, niewolą On karał,
Bo się snadź grzechów zebrało nie mało,
Lecz dziś tak wielką nam łaskę objawił,
Że i pamięci już cierpień nie stało.

Starzec.

Dobrze tak mówić młokosom... lecz starym
Trudno wydychać co przenieść trza było,
Wy bo nie wiecie jak dawniej bywało,
Nie pamiętacie dni lepszych... a jednak
Już i za naszej młodości mówiono,
Że się inaczej i lepiej tu działo,
Świat się wciąż psuje i nazad nie wraca
Czas co raz minął — to darmo!

Młodzian.

Dziaduniu
Czyście widzieli dziewicę tę piękną?
Taka młodziuchna!... szła zaraz za królem

Warta też tego... bo jej to jest sprawą,
Że koronacyę dziś jego widzimy.

Starzec.

Tak, tak, widziałem, — to wszystko są dziwy
Czasów dzisiejszych!... Bywało inaczej,
Dawniej przed laty... wrzeciona nie miecze,
Były w robocie u niewiast... lecz teraz
Inny porządek!

Młoda kobieta (ruszając ramionami).

Któż starym dogodzi?

Starzec.

Wszakże, jeżeli dziś mężów już niema,
Wielbić kobiety w pancerzu nam trzeba.

Młodzian.

Ale nie wszystkie! tę jedną mój dziadku!
Grzech, by w niej widzieć niewiastę zwyczajną!

Kilka głosów.

Tak, tak, ma słuszność zesłana nam z Nieba!

Mąż.

Nic jej zarzucać nie można.

Młodzian.

O patrzcie!

(wskazuje na wchodzącego na scenę czarnego rycerza, który ma łańcuch złoty na piersiach, płaszcz czerwony ze złotem na czarnej zbroi i pióro czerwone w szyszaku.)

Cóż to za jeden?

Mąż.

A nam co do niego? —

Młodzian.

Wielki pan jakiś!

Młoda kobieta.

Bogato przybrany.
Jakie ma frędzle!

Druga kobieta.

I jakie kutasy!

Czarny rycerz.

Cóż tu robicie zebrani gromadnie,
Jak z ciekawości, wy dobrzy ludziska.

Mąż.

Jak to? nie wiecie? Toż orszak królewski
Wszedł do katedry — czekamy zaś wszyscy,
By wnet powitać tu parę królewską!

Czarny rycerz (śmiejąc się).

Dobry monarcha... małżonek cnotliwy!

Młodzian.

Któż o tem wątpi?

Mąż.

Od dzisiaj nim będzie!
Modły Biskupów i święte Oleje,
Wielką moc dają słabemu człekowi,
A pomazańca Bożego szanować
Wszyscy winniśmy!

Czarny rycerz.

Dziecinna prostoto!...

Mąż.

Ktoście wy panie?

Czarny rycerz.

Jam także król, książe...
Wojskiem dowodzę... i mocy i trony,
Państwa posiadam... podwładnych ministrów,
Arcykapłanów, hetmanów, rotmistrzów.

Mąż.

Toż do kościoła wejść raczcie z innemi,
Miejsce tam dla was powinno się znaleść.

Czarny rycerz.

Kiedy wy tutaj stoicie na dworze,
Sami wzgardzeni?... Nie, moi biedacy!...
Ja chcę być z wami do końca... a zresztą
Co nam po murach tych z cegły, kamienia,
Które się w gruzy rozwalą nie długo?...
Inną świątynię zbudować jam mocen,
Szerszą, wspanialszą i trwałą na wieki,
Niczem ta przy niej i litość mię bierze,
Gdy was wpatrzonych jak w tęczę w nią widzę,
(po chwili milczenia)
Moja świątynia to wieża olbrzymia,
Góra z gór mnogich misternie spiątrzona,
Szczytem swym sięga aż po za obłoki,
I w niedostępne unosi wyżyny!
Wiedza jej kluczem... podnóżkiem przesądy!
Kto by wszedł za mną pod stropy jej świetne,
Stałby się panem wszechświata!

Starzec (ze zgrozą).

On bluźni!

Młodzian.

Nic nie rozumiem!

Uczony w todze i birecie.

Jak dzielna wymowa!
Moc horyzontów otwiera szerokich,
Mędrcem zaiste jest rycerz nieznany.

Czarny rycerz.

Króla więc ujrzeć pragniecie w koronie?
Jakże jest godną podziwu ta skromność!
Cóż on wam zrobił dobrego i czemże
Lepszym jest od was, co w znojach i trudzie,
Życie pędzicie, pracując dla niego?
Że płaszcz szkarłatny mu wisi na plecach?
Szaty złociste, że nosi na sobie?...
Ależ purpura, korona czy może
Rozum dać głowie, człekowi zasługę?...
Sami powiedzcie otwarcie i szczerze!...
(po chwili)
Lud to potęga! — lud winien panować...
Wolą swą rządzić i państwy i światem,
Bo on i państwa i świata podstawą.

Kilku wśród ludu (jedni do drugich).

Jednak ma słuszność i dobrze powiada!

Uczony.

Pogląd szeroki na dzieje ludzkości!

Czarny rycerz.

Jeden król tylko, a ludzi miliony,
Słusznaż to, aby dla tego jednego,
Wszystko się w prochu tarzało nikczemnie.

Starzec (surowo).

Nogi wżdy w prochu a niosą nas przecie,
Chodzić na głowie nie zdało się na nic...
Ona do rządów na kark nam włożona,
I król jest królem, bo kazał tak Pan Bóg!
(podczas całej tej rozmowy słychać było zdala muzykę kościelną, teraz ucichła i dzwonek się odzywa we wnętrzu kościoła.)

Młodzian.

Ha! podniesienie... padajmy na twarze,
(klękają, czarny rycerz krzywi się i usuwa na stronę.)

Lud na kolanach.

Błogosławiony ten, który przychodzi
W Pana Imieniu.

Czarny rycerz (chwiejąc się).

Przeklęty... na wieki!!

Lud.

Chwalim cię Panie i ziemi i Nieba!

Czarny rycerz (z przerażeniem).

Ha! zawsze i wszędzie,
Ten... ten... ten który... jest!
(pada na ziemię, dzwonek wciąż dzwoni.)

8*

Kobieta.

Boże! co jemu?

(kilku chce biedz z pomocą)

Starzec.

Dajcie mu pokój!

Młodzian.

On zemdlał.

Mąż.

Nie ruszcie.

Kobieta (zlękniona).

Wielka choroba.

Mąż.

Źle z oczu mu patrzy!
Czarny jak szatan... jak piekło ponury,
Nic z nim wspólnego nam mieć nie przystało,
To zły jest człowiek!

Kilka głosów.

A mówił tak pięknie!

(dzwonek ucichł, organy brzmią znowu, czarny rycerz zwolna się podnosi.)

Czarny rycerz (z gorzką ironią).

Wyście się zlękli? — lecz fraszka to była,
Ja, bo podlegam od czasu do czasu,
Takim atakom nerwowej słabości,
To nic, to przejdzie... już przeszło... widzicie?
(po chwili, gdy się wszyscy jakoś zdala trzymają.)
Żal mi was szczery... dajecie się zwodzić,
Róbcie jak chcecie, lecz wiedzcie, o ludzie,

Że na mnie kiedyś świat lepiej się pozna!
Czołem przedemną bić będą mocarze...
Ludy świątynię wystawią mi w sercu
I cześć ma zabrzmi od krańca do krańca,
Bo świat był moim... jest moim i będzie.
(odchodzi.)

Młodzian.

Waryat!

Mąż.

Bluźnierca!

Starzec.

To szatan wcielony!
(nieśmiało wchodzą znużeni drogą ojciec Joanny i bracia.)

Ojciec do synów.

Ach! tak, niestety! przychodzim za późno!
Dobrzem wam mówił... trza było pospieszać,
Sam lud już tylko pozostał na placu,
Znać już po wszystkiem.

Młoda kobieta (do drugiej).

Cóż chcą ci wieśniacy?

Ojciec nieśmiało.

Dobrzy panowie, powiedzieć nam raczcie,
Czy się już wszystko skończyło w kościele?
Czy król już wrócił na zamek z orszakiem?

Mąż.

Widać z daleka przyszliście do miasta,
Jeźli nie wiecie co tutaj się dzieje...
Zkądże Bóg niesie?

Ojciec.

Z wioseczki maleńkiej,
Aż z pogranicza Lotryngji.

Mąż.

A wioska?

Ojciec.

Zwie się Dom Remy.

Młodzian (uradowany).

Dom Remy, mój ojcze,
Toż to dziewicy ojczyzna!.. Musicie
Znać ją, nieprawdaż?

Ojciec (uśmiechając się).

Troszeczkę.

Mąż.

Witajcie.
Naszej zbawczyni szczęśliwy rodaku!
(ściska dłoń ojca serdecznie nią potrząsając.)
Wnet ją ujrzycie, bo obrząd wspaniały,
Już ku końcowi się skłania w świątyni,
Tak jest... I któżby przed rokiem tu myślał,
Że już tak blizkim jest koniec niedoli,
Ale Bóg wejrzał nareszcie łaskawie,
Zesłał Anioła nam z Nieba swojego,
Oh! to pociecha!
(ojciec ukradkiem łzę z oka rękawem sobie ociera.)
Lecz cóż to płaczecie?

Ojciec.

Nic to, nic zgoła... to z jakiejś rzewności,
Tak zakręciło mi w oczach i w sercu...
Jam tu tak szczęśliw i pojąć nie umiem,
Zkąd się to wzięło? —
(w kościele dają się słyszeć głośniejsze śpiewy, kotły i trąby, we dzwony też bić zaczynają.)

Młodzian.

Te Deum laudamus!
Dziadku, słyszycie? Już koronowany!

Starzec (wznosząc ręce do góry).

Chwalmyż więc także my Pana Zastępów.

Mąż.

O tak, błagajmy, by godnym był zawsze,
Naród tej łaski, król takiej godności!
(słychać w dali wystrzały moździerzowe.)
Niech wie świat cały, że króla ma Francya.

Ojciec (na stronie).

I to jej sprawa! — Jej... mego dziecięcia.

Syn starszy.

Ojcze, wychodzą z kościoła.

Ojciec.

O Nieba!

Scena II.

Orszak koronacyjny wychodzi z kościoła w zwykłym w takich razach porządku, król i królowa postępują pod baldachimem wspaniałym, Joanna tuż za królem. Chorągiew Jo-

anny niesie Jan Daulon przed chorągwią królewską. Wielcy dygnitarze, wodzowie, dworzanie, panie dworskie i t. p. Orszak postępuje wprost aż na środek sceny, potem skręca na prawo, gdzie za kulisami znika. Okrzyki ludu; król i królowa kłaniają się uprzejmie na obie strony.

Lud w głębi.

Wiwat król!! wiwat, niech żyje wiek długi,

Grupa (bliższa widzów).

Król nasz niech żyje! Niech żyje królowa!

Syn starszy.

Ojcze, to ona? to nasza Joanna.

Syn młodszy.

Patrzcie no tylko jak cudnie wygląda,
Któż by ją poznał w tem świetnem ubraniu!

Lud cały.

Wiwat dziewica! Dziewica niech żyje.

Syn starszy.

Jakie okrzyki!

Ojciec.

Topnieje mi dusza.

Lud (gdy orszak zawraca na prawo).

Para dostojna królewska niech żyje!
(w tej chwili Joanna spostrzega ojca i braci, odłącza się od królewskiego orszaku i bieży ku nim, orszak znika powoli z prawej strony, większa część ludu idzie za nim, zostaje tylko pierwsza grupa na przodzie, słychać jeszcze zdala okrzyki ludowe, a tymczasem gra idzie swoim porządkiem.)

Joanna (rzucając się w objęcia ojca).
Ojcze, mój ojcze!

Bracia.
Siostrzyczko jedyna!

Ojciec.
Dziecię ty moje!
(Joanna wita się czule z braćmi.)

Mąż.
O teraz rozumiem!

Młodzian i kobiety (z prawej strony).
Córka to jego?!

Joanna (stojąc między ojcem a bracią z lewej strony).
A matka kochana?
Mówcie, czy zdrowa? czy tęsknić przestała,
Czy jej tu nie ma? Dla czego?

Ojciec.
Bo widzisz
Ona radości swej wielkiej się bojąc,
Z modły za ciebie tam w domu została.

Joanna.
Droga mateczka! O, jakżebym chciała,
Upaść jej do nóg, kolana uścisnąć,
Głowę przytulić do łona lubego.

Ojciec.
Tebald z nią został.

Joanna.

Poczciwy!

Ojciec.

Nieprawdaż.

Joanna.

Wszystko powiedzcie mi, proszę was, drodzy!
Cóż tam porabia wioseczka ma cała?
Czy się nikomu nic złego nie stało?
A dąb mój stary, mój dąb rozłożysty,
Czy się też zawsze jak wprzódy zieleni?
Liściem czy szumi? czy chłodzi swym cieniem?
W górę czy strzela dzwonnicą kościółek?
Czy się w nim modli jak dawniej lud wierny,
W polu czy rośnie?... czy kwitnie w ogródku?
Ach! a ptaszyny?... a moje baranki?...
Kiedyż ja znowu tam będę pasała?!

Ojciec.

Ty, ty Joanno? Czyż tobie przystoi,
Dzisiaj ta mowa?...

Joanna.

Dla czegoż mój ojcze?

Ojciec.

Bo nam powiadać o czynach twych winnaś,
O Orleanie, — o twoich zwycięztwach,
I o tem wszystkiem, co nawet dziś jeszcze,
Bajką się zdaje, choć na to patrzymy,
Powiedz nam dziecię, toż jakim sposobem,
Sprawić ty mogłaś te dziwy?

Joanna.

Mój ojcze,
Bóg mię prowadził, i z woli najwyższej,
Wszystko to jakoś tak samo się stało!

Brat młodszy (dotykając się jej zbroi).

Czy ci nie cięży ta zbroja tak twarda?
Pancerz ten srebrny?... Sił trzeba nie lada,
By go wciąż dźwigać na sobie!... nieprawdaż?

Joanna (zamiast odpowiedzi, patrzy nań tylko ze znaczącym a rzewnym uśmiechem).

Brat starszy.

Czy nie ogarnął cię nigdy strach żaden?
Kiedy tak w koło cię ludzie padali?
Czyliś ty nigdy nie znała bojaźni?

Joanna.

Nigdy bojaźni?... O, Boże kochany!...
(smutnie)
Jedną obawę mam.

Brat starszy.

Jakąż Joanno?

Joanna (ciszej).

Boję się zdrady.

Brat młodszy.

Ty zdrady siostrzyczko?

Joanna.

Wam o tem wiedzieć zawczasu nie szkodzi,
Długo nie potrwam na ziemi tej lubej!

Ale nie smućcie tem matki kochanej,
Mówić jej o tem na teraz nie trzeba...
Coby się kolwiek stać miało tam, potem
Pójdę wnet z wami do domu... i do niej.

Brat młodszy (z radością).

Z nami ty pójdziesz? Być-że by to mogło?

Ojciec.

Co znów Joanno? Tu zostać powinnaś,
Ani nas smucić dziecinnym postrachem,
Dzisiaj w tryumfu godzinie przystało!
Zawsześ ta sama... nie taka jak inni.

Joanna.

Ojcze, nie myślcie, by pilno mi było,
Wszystkich was, życie i świat ten porzucić,
Dobrze mi z wami — tak dobrze, kochani,
Iż żyć bym rada tu jeszcze wiek długi,
Gdyby się Bogu podobać tak chciało!
Małoście ze mnie wszak mieli pociechy,
Nieraz wam troski przydałam niestety!
Duszą to, myślą, istotą mą całą,
Byłam gdzieś indziej nie z wami na ziemi!
Teraz już wszystko byłoby inaczej!...
Innym by głosem w powietrzu szeptały.
Lasów odwiecznych zielone sklepienia,
Echy innemi zabrzmiałyby dzisiaj,
Góry, urwiska wogezów wspaniałych,
Kędy się serce tylekroć ściskało,
I wzrok z lubością mknąc z biegiem Mozelli,
Inne obrazy spotykał by w dali,
Nie te co wtenczas mą duszą wstrząsały,

Wy zaś o moi kochani rodzice!
Których troskliwość nademną czuwała,
Musielibyście Joannie przebaczyć,
Przeszłych utrapień, że tyle wam dała,
(rzuca się w objęcia ojca, który ją tuli do piersi.)

Ojciec.

Dosyć już, dosyć... żyj tylko, żyj proszę!

Brat młodszy.

Z nami pozostań, siostrzyczko kochana.

Brat starszy.

Albo mi pozwól tu zostać przy tobie!
Będę cię bronił... chcę służyć królowi.
(Joanna bierze go za rękę i patrzy z rozrzewnieniem na ojca i braci — paź Joanny nadbiega zdyszany.)

Paź.

Gdzieżeś dziewico? Król pyta o ciebie,
Wszyscy czekają tam twego przybycia,
Tak nie uchodzi i pomnieć ci trzeba,
Żeś ty dziś w Ręsie jest pierwszą po królu!

Joanna.

O zapomniałam... o drodzy, wybaczcie,
Muszę was rzucić, lecz wrócę niedługo.
(odchodzi z paziem rzucając rodzinie jeszcze tkliwe pożegnalne spojrzenie.)

Ojciec.

Król o nią pyta... król po nią posyła...
Pierwsza po królu... ta nasza Joanna!
(głosem rozrzewnionym.)

Dobrze zrobiło poczciwe matczysko,
Że nie przybyła tu z nami do Rajmsu,
Można tu stracić ostatki rozumu,
Tylą zaszczytów jak winem się upić!

Mąż (przystępując bliżej).

Ojcze Joanny! zapewne w tem mieście,
Obcy jesteście, nie znacie nikogo...
A zaś u króla już gości jest dosyć,
Jeźli więc łaska, do mojej gospody,
Proszę was z serca. Tam sobie przy dobrej
Wina szklanicy co nam się została,
Jakby ostatnia krwi naszej kropelka,
O tem co przeszło, co jeszcze przyjść może,
Dalej pogwarzym dla ulgi serdecznej,
Pijąc za zdrowie naszego Karola,
I za dziecięcia waszego pomyślność,
(podając dłoń ojcu Joanny)
Zgoda li na to?

Ojciec (potrząsając serdecznie tą dłonią).

Przyjmuję z wdzięcznością.

Mąż.

Chodźmyż dzień skończyć w uczciwej radości!
(wszyscy odchodzą jedną z uliczek przytykających w głębi sceny do placu, starsi naprzód, młodsi za nimi.)

Dekoracye się zmieniają.

Scena III.

Przedpokój przed salą tronową w królewskim pałacu w Reims, przez całą szerokość sceny na pierwszym zaraz planie ciężka

i bogata zasłona od góry do dołu zawieszona oddziela przedpokój od sali — *Thouars de la Trémonille* i *Gaucourt* wchodzą z prawej strony.

Thouars de la Trémonille.

Mówcie co chcecie, ja stoję przy mojem,
Nędzny przeciwnik, przyjaciel potężny,
Na nic się nie zdał... choć zda się inaczej,
Dobry ten tylko, komuśmy potrzebni,
I kto przysługę opłacić jest w stanie.

Gaucourt.

Zatem?...

Thouars de la Trémonille.

O, zatem nic jeszcze nie idzie,
Coby tak zaraz powiedzieć się dało,
Zważcie jednakże potrzeby i czasy,
Okoliczności... widoki możliwe,
Oto... powiedzieć wam muszę otwarcie...
Łatwiej niż słowy, uczynkiem by można
Tego dobrego przejednać Filipa!...
Listu co dzisiaj do niego wysłano,
Przyznać musicie, myśl była szczególna,
»Jeden drugiemu przebaczcie«, powiada,
»Jako na dobrych chrześcian przystało!«
(śmieje się)
Dobrzy chrześcianie! wybornie doprawdy!
To polityka... to mądrość stanowa!...
Ha! od zewnętrznej najsroższej niewoli,
Gorszą jest stokroć niewola głupoty!
Ta nam zagraża!

Gaucourt.

Mniemacie, margrabio!

Thouars de la Tremonille.

Patrzcież, dla Boga! do czego tu przyszło,
Gdzie etykieta się dawna podziała?
Wielki mistrz dworu, czyż nie jest przejęty,
Zgrozą, gdy widzi, co tutaj się święci.

Gaucourt.

Jużcić wyznaję, lecz wszystko już teraz,
Wróci niechybnie — do trybu dawnego.

Thouars.

Wy tak myślicie?... Innegom w tem zdania
Ten król zazwyczaj na wszystko tak zimny,
Dla tej Joanny ma względy szczególne,
Gdybyż to kaprys po prostu królewski...
Nic bym nie mówił... rad byłbym mu nawet,
Czy ta, czy owa... na jedno wychodzi,
Trafić przez każdą wszak można do celu!
Lecz tu rzecz inna!... stropiony dwór cały,
Wszystko na opak się nam tu obraca,
Tak trwać nie może.

Gaucourt.

Do czegoż to zmierza?

Thouars.

Wiem, że ufności ja waszej, pozyskać
Dotąd nie mogłem... Nie dziwię się temu,
Każdy o własną tu nawykł dbać skórę...
Miłość rozumna zaczyna od siebie...
Lecz mi naprawdę o wasze przymierze,
Chodzi we własnej korzyści widokach,

Jedność to siła!... Widzicie jam szczery,
Wspólny interes nas wiązać powinien.

Gaucourt.

Słucham margrabio z ciekawem zajęciem,
Cóż zamierzacie? plan jaki i środki?

Thouars.

Byle plan wolą utwierdzon był stałą,
Środki się znajdą, — są na to sposoby!
(po chwili milczenia)
Przyznać należy, że znudniał straszliwie,
Dwór po zniknięciu zeń światła jasnego. —
Biedny król... Żal mi go szczerze doprawdy...
Rychło się tronem nasyci i cnotą!
Dziś się ofiara już stała zbyteczną,
Tron odzyskany, — korona zdobyta,
Już i królowa zajęła swe miejsce...
Czemuż go dręczyć? — Obawiać się czego?
Wierzcie mi, by mu zasłużyć się stale,
Piękną Agnieszkę tu wrócić nam trzeba!

Gaucourt.

Widzę w tym jednym mistrzowskim zamachu,
Rękę biegłego w swej sztuce szermierza!
Zysk zeń podwójny — jak słońce z księżycem,
Tak nie ubędzie z kochanką dziewica!
Lecz by rezultat osięgnąć tak prosty,
Pomoc czyż moja potrzebną być może?
Prawda margrabio? mieliśmy wszak inne
Jeszcze pomysły, i inne zamiary?
Zły to strategik co drogi różnemi,
Zmierzać nie umie do celu swojego,

I zysk oblicza na planie jedynym,
Który w rachubie omylić go może...
Pięknej Agnieszki możeby starczyło,
By tę Joannę wam z drogi usunąć...
Lecz mi się widzi, że, albo się mylę,
Albo nie o to wam tylko chodziło,
Wprzódy wymówkę słyszałem z ust waszych,
Że wam nie ufam... pomówmy więc szczerze,
(po chwili namysłu)
Filip Burgundzki jest panem potężnym,
Złota, pieniędzy ma wielki dostatek...
Alboż nie prawda?

Thouars.

Nikomu nie tajno,
To najbogatszy pan czasu swojego.

Gaucourt (dobitnie i znacząco).

Złoto, margrabio, to klucz co otwiera,
Wszystkie tajniki... i to nie nowina!
Otóż ten Filip co tyle nam szkodził,
I dziś nam jeszcze tak szkodzić jest mocen,
W czasach ostatnich się trochę poważnił,
I z Anglikami... lecz radby niezmiernie,
Znowu ich przyjaźń i pomoc pozyskać...
Mówi przysłowie ludowe, — a zatem
Proste, wybaczcie... »że w miarę jedzenia,
»Wzrasta apetyt.« — Kto więcej posiada,
Coraz też więcej posiadać ten pragnie...
Zaokrąglenia państw swoich kwitnących,
Pragnie i Filip Brabantu dziedzictwem,
Tylko Winczester dopomódz mu w stanie,

W tak powikłanych dziś sprawach na świecie,
Mądry ten Prałat, pieniężnych spraw świadom,
Dosiągł też inak kieszeni Filipa,
Jako hrabiego bogatej Flandryi...
Porty jej wzbronił okrętom swym... zatem
Wszelki handlowy zerwany stosunek!...
Cios to fatalny zadany zdradliwie,
Wszystkim od razu flamandzkim warsztatom!...
Wnosić ztąd można, że książe Burgundyi,
Drogo by zgodę okupić był gotów,
Byle znów porty otworzyć swobodnie,
I znów zdrój złota wprowadzić do kraju!

Thouars.

Mistrzem wy moim!... Cóż dalej? ciekawym...

Gaucourt.

Płacę za szczerość, szczerością z mej strony,
Wiecie, czem dzisiaj najłatwiej byłoby,
Anglii dogodzić... Kto dla niej tu straszny,
Ha! są sposoby... rzekliście to sami...
Gdyby naprzykład się w ręce Filipa,
Jakimś niewinnym sposobem dostała...

Thouars.

Dosyć, dla Boga!... ostrożnie... nie kończcie.

Gaucourt (zwolna i dobitnie).

Alboż dźwięk głosu straszniejszy od myśli,
Co myśl poczęła wyrazić nie zdoła,
Bez zająknienia i tego co wstydem,
Zwykły nazywać przesądy ludowe?
Wyższym zaiste powinien być nad nie,

Ten co korzyści hołduje na świecie,
Mniemam, że takiem i wasze jest zdanie,
(zmieniając ton)
Wszakże, nie bierzcie mi za złe tej mowy,
W każdym przypadku los zawsze jednaki,
Czeka tę, która dziś tylu zawadza,
Tutaj i dalej za państwa granicą!
Miejcie cierpliwość... zostawcie losowi,
On się z nią sprawi bez naszej przyczyny,
Sama bo sobie największym jest wrogiem,
Takich jak ona świat długo nie znosi!
(odchodzi lewą stroną.)

Scena IV.

Thouars (sam).

Takich jak ona?... I czem-że jest, pytam?
Przyszłość to blizka okazać by miała,
Ha, ha! ciekawym, ciekawym doprawdy!
Pasmem splątanem są losu koleje,
Tylko kto w ręku nić trzyma uważnie,
Śmiało nad losem pracować też zdoła,
Byle wynaleźć ów koniec właściwy,
W którym jest sekret całego zadania,
To już wypadków kłębuszek misterny,
Niby przeznaczeń odwiecznych wyroki,
Zwija się gładko... sam przez się... i właśnie
Jak chce ta ręka co nitkę prowadzi,
Świat zaś zdumiony, nie znając przyczyny,
Skutki podziwia i szczęścia zazdrości,
Głupi!... wszak szczęście, to rozum człowieka,
Rozum co zimną rachubą oblicza,

Więcej co waży, co lepiej popłaca,
Idźmyż rachunek prowadzić rozumnie! —
(odchodzi tąż stroną co i Gaucourt, po chwili zasłona się rozsuwa i odsłania salę tronową, król i królowa siedzą na podwyższeniu z prawej strony, cały dwór zebrany stoi w części po obu stronach tronu, a w części naprzeciw niego, — w głębi galerya z kolumnadą, Gaucourt i Thouars wchodzą na scenę z lewej strony i stają w jednym rzędzie z innymi.)

Scena V.

Król, królowa, dwór cały i wszyscy z orszaku koronacyjnego oprócz Joanny.

Król (powstając z powagą).

Szlachta, rycerstwo i mili panowie!
Kiedy Najwyższy łaską swoją sprawił,
Że do praw moich wróciłem szczęśliwie,
Gdy na me czoło, ramiona i piersi,
Spłynął ów chryzmat, co daje moc cudu,
A złość mych wrogów zwalczona nareszcie,
Wydrzeć nie zdoła mej drogiej spuścizny,
W chwili tak błogiej dla serca mojego,
Niech-że się z wami podzielę radością,
Przyjmcie tu wszyscy zebrani pospołu,
Mojej królewskiej wdzięczności wyrazy,
Za dochowaną mi w ciężkiej niedoli,
Wiarę i miłość poddanych niezłomną,
Dzień ten na zawsze pamiętnym zostanie,
W dziejach i kraju i świata całego...
Niecnych potwarze on z gruntu obala,
Francyi istnienie utrwala na wieki!
Ale nie dosyć jest trudów niesionych,

Wytrwać w ofiarach potrzeba nam stale,
Póki najezdnik część kraju, — stolicę
Dzierży jak swoje, jak łupy zdobyte,
Nieraz mi jeszcze spróbować wypadnie,
Męztwa waszego i waszej odwagi —
Wszakże nie pytam, czy serca wam starczy...
Wiemy dziś wszyscy, co może broń nasza,

(oglądając się do koła)

Lecz gdzież ta, której po Bogu i po was,
Winniśmy Francyi koronę i berło?! —

(siada znowu na tronie.)

Dunois (występując naprzód).

Po nas? nie królu! Nie po nas zaiste,
Myśmy jej samej, jej winni zwycięztwo!
Bóg ją powołał, i ona jedynie,
Była zbawczynią! — Dopóki nie przyszła,
Myśmy w niemocy leżeli zdrętwiali,
Wróg się naigrawał z naszego upadku,
Bito nas wszędzie, i oręż nasz stary,
Rdzą się rumienił, że sławy naddziadów,
Wnuki godnemi już być zaprzestały,
Ona na nowo rozgrzała pierś naszą,
Wiarą, zapałem do czynów tak świetnych,
Że ich potomność zapomnieć nie zdoła,
Jej się więc chwała należy najpierwsza,
Dzięki królewskie, i nagroda cała!

Thouars (na stronie śmiejąc się).

Myśleć zaczynam, że rozum lub serce
Wódz nasz postradał z przyczyny tej dziewki!

Karol do Dunoisa.

Krew nieodrodną mych przodków poznaję,
Ha! waleczności ta skromność przystała,
Wdzięczność należną okazać potrafię,
Skąpić nie myślę nagrody Joannie,
Lecz, gdy już wszyscy jesteśmy zebrani,
Czemuż jej dotąd tu pośród nas niema?

Thouars zcicha do Gaucourta.

Pośród motłochu została gdzieś w tłumie,
To uwieńczenie sławionej zasługi!
(Joanna tymczasem wchodzi spiesznie galeryą w głębi i rzuca się do stóp tronu.)

Joanna (ściskając kolana królewskie).

Miły mój królu! Wie teraz kraj cały,
Żeś ty mocarzem i Panem jest Francyi,
Wszystko się stało, co Pan Bóg rozkazał,
Dzisiaj już moja robota skończona.

Karol.

Tak jest, Joanno, twe dzieło uwieńcza
Złota korona, co zdobi me skronie,
Proś o co zechcesz, a chętnie jam gotów,
Wszystkie natychmiast twe spełnić życzenia!
(chwila milczenia)
Mów-że, — mów śmiało co tylko mieć pragniesz.

Joanna (z boleścią).

Jakto mój królu? czym dobrze słyszała?
Jabym dla siebie pragnęła nagrody?...
Jabym łask jakichś dopraszać się miała,
Za to co Pan Bóg chciał sprawić przezemnie.

Karol.

Źleś zrozumiała me słowa Joanno!
Usług twych niczem opłacić nie zdołam,
Lecz nie przystało bym w długu pozostał.
Gdyś ty poddaną, ja królem zaś twoim,
Przeto ci każę objawić życzenie,
Które zawczasu wypełnić przyrzekam.

Joanna.

Panie, rozkazów twych słuchać powinnam,
Przeto... mój królu... lecz o cóż mam prosić?
(namyśla się chwilkę, a potem jakby sobie coś przypomniała)
Prawda... w dzieciństwie mem nieraz słyszałam,
Że rzecz jest ciężka opłacać podatki,
Naszej wioseczce wojną zubożonej,
Bo nie szczędzili jej cichych mieszkańców,
Swoi i cudzy, Burgundy, Anglicy
A i francuzkie, niestety, żołdaki —
Jeźliby można od opłat zbyt wielkich,
Biedne Dom Remy uwolnić już nadal,
Panie... kazałeś... więc proszę cię o to!

Karol.

Zgoda Joanno!... Na zawsze Dom Remy,
Wolne niech będzie od opłat skarbowych.

Joanna (z radością).

Dobry mój królu!... O, jakże ztąd wielką
Radość mieć będą tam moi rodacy!

Karol.

Lecz to nie dosyć... to mało... proś więcej.

Joanna.

O najjaśniejszy mój Królu i Panie,
Jeźli chcesz łaskę największą wyświadczyć,
Pozwól, bym twoje ściskając kolana,
Jeszcze dziś ciebie pożegnać tu mogła...

Karol.

Jak to, Joanno!... opuścić nas pragniesz.

Joanna.

Gdym pomazańcem cię Bożym ujrzała,
Wrócić spokojnie już mogę do domu —
Dalszych rozkazów mi głosy nie dały,
Tutaj więc moje zadanie spełnione.

Karol.

Nigdy Joanno, dopóki w Paryżu
Wróg się rozpościera! Chciałażbyś naprawdę,
Sprawę zaczętą w połowie porzucić?
Tak być nie może... Rycerski obyczaj
Z placu uchodzić walecznym zabrania!

Joanna.

O! jam nie rycerz, jam biedna dziewczyna,
Tęskna do swoich, do wioski, do chatki...
Do łąk mych świeżych, do dębów zielonych,
A nadewszystko do rodziców, do braci!

Karol do Dunois'a i Lahira.

I cóż wy na to, szlachetni wodzowie?
Możnaż ją puścić?

Dunois i Lahire.

Potrzebna nam Panie!

Joanna (błagając ze łzami).

Królu, powrócę, jeżeli każecie...
Choć i bezemnie tu wszystko się stanie...
Wrócę posłuszna rozkazom... lecz teraz
Do mej rodziny, ach! puścić mię raczcie!

Karol.

Dosyć Joanno! Dziecinnym pragnieniom,
Zadość uczynić ja, król twój, nie mogę,
Tyś nam potrzebną, słyszałaś to sama,
Matką i ojcem dziś tobie ojczyzna!
By cię zaś stale przywiązać do broni,
Którą porzucić pokusa cię brała,
Dotąd nieznanym na świecie zwyczajem,
Ciebie i braci, rodzinę twą całą,
Ojca i matkę i przodków twych w grobie,
Do rycerskiego wynoszę dziś stanu —
I to w nadmiarze mej łaski stanowię,
Co nie bywało: że godność szlachecka,
Rodu twojego nie tylko po mieczu,
Lecz po kądzieli niewieściej też spływać
Będzie przez wieki, w potomność odległą!
Klęknij Joanno... Weź godność rycerską!
(Joanna klęka u stóp tronu ze spuszczoną głową i złożonemi na piersiach rękami z wyrazem głębokiej a smutnej rezygnacyi, Karol uderza ją z lekka szpadą swą po ramieniu, — w tejże chwili zasłona spada.)

Koniec aktu czwartego.

Akt V.

Scena I.

Dom Remy jak w pierwszej scenie pierwszego aktu. Przed domem na ławie siedzi matka Joanny i przędzie, — obok niej *Tebald*, — w chwili, gdy się zasłona podnosi, ojciec Joanny i *Rajmund* zajęci rozmową nadchodzą z głębi sceny.

Ojciec.

Tak, tak Rajmundzie, to zaszczyt nie lada,
Szlachtą zaprawdę, my szlachtą jesteśmy!
Starą i dawną jak nasi sąsiedzi,
Zamków obronnych rycerscy panowie!
Herby i tarcze królewskim podobne,
Toż to nie żarty!... A nasza Joanna,
Gdyby choć chłopa na męża wybrała,
Dzieci jej szlachtą, byłyby jednakże!
Lecz gdzież tam! teraz nie dałbym jej chyba,
Rodu wielkiego synowi — albowiem
Godną hrabiowskiej książęcej korony,
Moja dziewoja.
(zawracają i idą znowu powolnym krokiem w głąb sceny.)

Matka (przerywając przędzenie).

O, jakże mi ciężko,
Słuchać tej mowy, Tebaldzie kochany.

Tebald (z westchnieniem).

Trzeba wybaczyć tej dumie ojcowskiej,
Tak sprawiedliwa!

Matka.

Nad wszystkie zaszczyty,
Milszą obecność jej byłaby dla mnie.

Tebald.

Wierzę o wierzę! zastąpić cóż może,
Sercu sam przedmiot gorącej miłości??

Matka.

Wiesz mój Tebaldzie? tęsknota mię taka,
Nieraz ogarnia, że dłużej wytrzymać,
Zda się nie mogę, — a jednak dzień po dniu
Bez niej upływa!!... Czy ja też ją kiedy
Jeszcze zobaczę?

Tebald.

Dla czegożby wątpić?
Skoro się skończą te boje nieszczęsne,
Ona tu do was niechybnie zawita,
Lub was sprowadzi do siebie.

Matka.

Tebaldzie!
Strach mię ogarnia!

Tebald.

Z jakiego powodu?

Matka (nieśmiało).

Moją gołąbkę mi zepsuć gotowi!

Tebald.

Matko! co mówisz? czyż nie znasz najlepiej
Twego dziecięcia? lilijki tej ślicznej?

Słowa twe chciałbym pochwycić w powietrzu,
I tam je wrócić zkąd wyszły niebacznie,
By liść na drzewie ich gdzieś nie usłyszał,
Echa by dalej ich roznieść nie mogły.

Matka.

Dobry Tebaldzie... dziękuję ci szczerze,
Łaj mię... ja sama bo niewiem com rzekła!
(przędzie z podwojoną pilnością.)

Ojciec (wracając z Rajmundem na przód sceny).

Czy zaś potrafisz uwierzyć, gdy powiem,
Że ja tu jeden te łaski oceniam,
Tak jak należy?... Ta moja kobieta,
Wzdycha i jęczy mi we dnie i w nocy,
Oczy wypłakać toż sobie gotowa,
Jakby niedolą nam było to szczęście!
Niewiast dziwactwa policzyć któż zdoła?
Dziś tak, a jutro już znowu inaczej!
Pókim ja miewał obawy rozsądne,
Ona broniła wszystkiemi siłami!...
Dziś, gdym ja szczęśliw, gdy szczycę się słusznie,
Ona wciąż stęka i widzi postrachy!...
Bieda z babami, mój dobry sąsiedzie!
Czy to ja takbym potrafił wystąpić,
I nosić tę godność co jak z Nieba spadła,
Gdyby nie żona?... Lecz zmienić to trudno,
Jarzmo małżeńskie trza dźwigać w milczeniu!

Matka (dosłyszawszy ostatnie słowa).

Dobry mój mężu, nie gniewaj się proszę,
Wybacz słabości matczynej... Mnie samej,
Milej byłoby radować się z tobą

I żyć spokojnie jak dawniej bywało,
Gdym was tu wszystkich pod okiem mem miała,
Teraz inaczej... poradzić nie mogę.

Ojciec.

Któż bo ci winien? Dla czego się trwożysz,
Gdzie byś się cieszyć jedynie powinna?

Rajmund.

Dajcie już pokój... przekonać nie łatwo
Nasze kobiety, gdy mówi ich serce!...
(zawracają, idą znowu w głąb sceny i tam się przechadzają rozmawiając z sobą po cichu.)

Matka (po chwili milczenia).

Powiedz Tebaldzie, czy wierzysz w przeczucia?
One mię dręczą straszliwie obecnie...
W nocy się zrywam... sny miewam okrutne
Błagam ratunku, jak gdyby nad nami
Wisiał miecz jakiś, i lada godzina
Spaść miał swem ostrzem na głowę nam wszystkim.
Wierzaj, napróżno tak dręczyć nie może
Biedną kobietę nasz ojciec Niebieski...
Serce też matki jak nić owa lśniąca,
Co się rozściela jedwabiem w powietrzu,
Lgnie do dziecięcia tajnemi prądami!
Co się z nią dzieje? — co stać się tam mogło?!...

Tebald.

Bywa tak czasem, że myśl nam zwiastuje,
Rychło przybycie kochanej istoty...
Albo przynajmniej żądaną wiadomość...

Więc się uspokój, o matko kochana...
Bóg ci zapewne da wieści pomyślne.

Matka.

O mój Tebaldzie... ty niewiesz... lecz muszę
Wyznać ci wszystko... gdy matką mię zowiesz
Wyrzut sumienia porusza mą duszę...
Wiesz, że jej ojciec chciał ciebie za zięcia...
Ja to się wtedy ją oddać wzdragałam!
Gdyby jednakże tak stało się wówczas...
Gdybyś ją pojął... tu byłaby z nami.

Tebald.

Myślom tym pokój już dajmy na zawsze,
Obraz jej bujać mi winien w obłokach!
O całe Niebo nademną się wznosi...
Na nią spoglądam ja w górę... jak w świętą.

Matka (strwożona).

Alboż na ziemi jej nie masz już może?

Tebald (z wyrzutem).

Matko, czyż każdem masz dręczyć się słowem.

Matka.

Synu mój, pójdźmy jej szukać po świecie,
Ja niepewności tej dłużej nie zniosę,
Przez tę cześć, jaką masz dla niej cię błagam...
Bądź przewodnikiem jej matki strapionej.

Tebald.

Ale chciej pomnieć, że ona w obozie,
Jakże tam dotrzem przez kraj tak wzburzony?
Gdyby się istna znalazła potrzeba...

Gdyby broń Boże... lecz na co przypuszczać?...
Bądź dobrej myśli, otrząśnij precz troskę,
Wszystko się skończy szczęśliwie...

Matka.

Daj Boże!
Ale dla czegoż nie wraca jak chciała?...
Czyliż nie dosyć już chwały, zasługi? —

Tebald.

Nam się tak zdaje... Opatrzność zaś w górze,
Inne zapewne mieć musi widoki,
Na nią się zdajmy, nie skrzywdzi nas pewnie.

Matka.

Jakiś ty dobry... zawstydzasz mię... oto
Chcę być od dzisiaj zupełnie spokojną!
(zaczyna znowu prząść skwapliwie, tymczasem w głębi między drzewy ukazuje się paź Joanny w podróżnym stroju — staje przez chwilkę, przypatruje się zdala wszystkim, potem zbliża się do ojca, poznają się, zamieniają z sobą słów kilka w głębi sceny, matka przypadkiem zwraca wzrok swój w tamtą stronę i spostrzega nieznajomego.)

Matka.

Patrzaj Tebaldzie... tam jakiś młodzieniec,
Cóż on chcieć może?... zkąd tutaj przybywa?

Tebald (który też już był spostrzegł pazia).

Pytam też siebie i pojąć nie mogę,
Podróż daleką odprawić znać musiał...
Kurzem okryty... zmęczony wyraźnie!

Matka.

Któż on? zkąd idzie? cóż od nas chcieć może,
Oh! ja się boję... jak serce kołace!
(ojciec, paź, a za nim Rajmund zbliżają się, Tebald powstaje z miejsca z widocznym niepokojem.)

Scena II.

Matka, Tebald, Ojciec, Paź, Rajmund.

Ojciec.

Żono!... patrz... oto... od naszej Joanny.

Matka (zrywając się z miejsca z pospiechem).

Boże! ach! od niej... od mego dziecięcia?!
(do pazia)
Panie witajcie... usiądźcie... spocznijcie,
Mówcie, o mówcie! Jesteście znużeni?

Tebald (na stronie).

Blada twarz jego i smutne spojrzenie,
Ach! on zwiastunem jakiegoś nieszczęścia!

Matka.

Cóż ma najdroższa porabia dziecina?
I z czem was do nas aż tutaj przysłała?

Paź (na stronie).

Jakże im powiem? jak zadam cios taki?...
(głośno)
Żyje i zdrowa... spodziewać się trzeba...

Matka.

Ach! więc nie prosto tu od niej idziecie?

Paź.

Chciejcie pozwolić, bym zwolna jak było,
Wszystko powiedział...

Matka.

Gdy wiem, że się wiedzie
Memu dziecięciu, wszystkiego z zajęciem
Słuchać gotowam... lecz wprzódy by może,
Was czem posilić?

Paź.

Dziękuję, nie trzeba...
Później już chyba.

(na stronie)

O jakaż męczarnia!...

Tebald (który przeszedł na lewą stronę ustępując miejsce paziowi też na stronie).

Czuję cios jakiś, wiszący nad nami!

Ojciec (do pazia).

Ale siadajcież.!. siadajcie i mówcie.

Paź (opuszczając się na ławę).

Długo musiałbym wyliczać wam wszystko,
Czyny waleczne przedziwnej dziewicy!
Wiecie zapewne co było w Paryżu?
Jako nie chciała oblegać to miasto,
Król zaś koniecznie szturm kazał przypuścić,

Jako krwią swoją oblawszy tam fossy,
Od oblężenia odstąpić musiała.

Matka (z przerażeniem).

Ona? Joanna?... znów była ranioną?

Ojciec.

Rana ta dawno zgojona już matko!

Matka.

Biedne me dziecię!

Ojciec (do pazia).

Słuchamy was dalej.

Paź.

Zrazu po Ręsie tryumfem był pochód,
W którym zabierał król miasto po mieście,
Bramy się przed nim otwierać spieszyły,
Kraj sam się rzucał w objęcia monarsze,
Później... lecz pocóż dotykać tej strony?...
Świat był niewdzięczny i zawsze nim będzie!

Ojciec.

Jakto? niewdzięcznym... niewdzięcznym mówicie.

Paź.

Wierzcie, trudności nie mało tam miała,
Nasza dziewica! lecz mimo złej woli,
Mimo też braku potrzebnej pomocy,
Miasto nie jedno nam jeszcze zdobyła!
(po chwili milczenia z niejakimś wahaniem się)
Nadszedł nareszcie dzień dla nas pamiętny,

Gdyśmy do Kąpjeń*) rzucili się śmiało,
Tam gubernator był człekiem niepewnym,
Złoto Filipa doń pono trafiło...
Filip oblegał fortecę... Joanna
Jeszcze dnia tego wycieczkę zrobiła.

Matka.

Oddech zamiera mi w piersi.

Ojciec.

Cóż dalej?

Paź.

Z rana dnia tego do stołu Pańskiego,
Poszła Joanna... tak zwykle czyniła. —
Potem w kościele... o filar oparta,
Smutnie do garstki zebranej tam rzecze:
»Módlcie się dzieci, albowiem z pewnością!!

Tebald (przerywając).

Dosyć, już dosyć, szczegółów tych wstępnych
Panie... do rzeczy, do rzeczy prosimy!

Paź.

Słusznie mówicie. — Wspomniana wycieczka,
Wpadła znienacka na karki Burgundów,
Już, już iść mieli w rozsypkę, gdy nagle
Znowu skupieni odparli nas silnie...
Wszystko do miasta napowrót się ciśnie...
Ciałem swem odwrot dziewica osłania...

---

*) Compiegne.

Matka.

Boże! umieram.

Paź.

W gwałtownym pospiechu
Spieszą się hufce, by skryć się za wały,
Gdy zaś ostatni już żołnierz bezpieczny,
Bieży Joanna by dopaść też w porę,
Już jest przy moście... lecz właśnie w tej chwili,
Most się zwodzony nad fossą podnosi!

Matka.

Ona! cóż ona!... Ach! co się z nią stało?

Ojciec.

A nieszczęśliwa!

Paź.

Na rączym swym koniu,
Jeszcze próbuje ujść srogiej swej doli,
Ale na próżno!! po płaszczu powiewnym,
Świetnym pancerzu i szczupłej kibici,
Każdy ją poznał, i wnet otoczona,
W ręce Burgundów się biedna dostała.

Matka (załamując ręce).

W ręce Burgundów!... W niewoli Joanna!

Paź.

Rzekła mi przedtem: Ludwiku, jeźliby
Zło mię spotkało, pamiętaj rodzicom

Moim to donieść ostrożnie... spełniłem
Święcie ten rozkaz mej Pani.

Matka.

O Boże!
Ona w niewoli!

Paź (patrząc na nią z litością).

O, nic tak bardzo strasznego w tem nie ma,
Ufać wszak trzeba ludziom i Bogu...
Jeńcom wojennym, nikt szkody nie czyni,
Duch zaś rycerski rękojmią nam przecie,
Że się kobiecie, dziewicy młodziuchnej,
Zło nie przytrafi wśród prawych rycerzy,
Zatem hamujcie niepokój zbyteczny...
To co się stało odrobić się może...

Ojciec.

Tak! niepodobna, by król ją opuścił,
On co koronę odzyskał jej sprawą,
Niebo i ziemię poruszy zapewne,
Naszą Joannę, by wydrzeć z rąk wroga!
Żono, idź proszę, zgotować dla gościa,
Takie przyjęcie, na jakie nam starczy...
Łzy nie pomogą, westchnienia nie zbawią,
Teraz już tylko trza czekać cierpliwie!

Matka (odchodząc już we drzwiach).

Ona w niewoli... w niewoli... w niewoli!

(ojciec idzie za nią, Rajmund odchodzi w stronę wsi na lewo, kiwając głową w sposób znaczący.)

Scena III.

Tebald — Paź.

Tebald.

Panie wybaczcie, przerwałem wam wprzódy,
Teraz jednakże rzecz chciejcie dokończyć!
Jam bo mężczyzna i mogę usłyszeć,
Wyrok najprostszy, gdy prawdą jest... przeto
Cóż tam mówiła dziewica w kościele,
Tego poranka, okropnej pamięci?...
»Módlcie się dzieci, albowiem z pewnością!!«

Paź.

Ach! tak, niestety!... mówiła z przeczucia,
»Módlcie się dzieci, albowiem z pewnością«
Ktoś mię zaprzedał, — zdradzonam i wkrótce
Będę wydana na śmierci męczarnie...
Módlcie się za mnie... Ach! błagam was, bowiem
Służyć nie będę już mogła królowi,
Ani mej pięknej, kochanej ojczyznie!

Tebald.

Więc tak się stanie... tak stanie doprawdy!

Paź.

Ojcu i matce mówiłem przed chwilą,
Że jej niewola nie straszna... to bajka!
Rycerz de Lini *) co miał ją w swym zamku,
Rodu wielkiego to wprawdzie potomek,

---

*) De Ligny.

Krewny cesarzów i królów... aliści
Choć Luxemburczyk, lecz młodszy brat w rodzie,
I bez majątku... w potrzebie być musi
Długo, szeroko by o tem rozprawiać,
Słowem, jak rzeczy tam stoją, wszystkiego
Dziś dla Joanny obawiać się można!

(po chwili)

Chciałbym nie jedno wam jeszcze powiedzieć,
Gdybyśmy sami rozmawiać gdzieś mogli,
Żal mi tych starych!... Możecież mię przyjąć?!

Tebald.

Proszę was, proszę, pod strzechę mą smutną.

Paź.

Krewni jesteście.

Tebald.

Od dziecka mi znana...

(odchodzą na lewo w stronę wsi.)

Dekoracye się zmieniają.

Scena IV.

Zamek Jana de Ligny, komnata średniowiecznej architektury ciasna, naga i surowego pozoru, Jan de Ligny w stroju myśliwca rycerskiego owych czasów, wchodzi z miną ponurą, broń myśliwską stawia w kącie i staje zadumany.

Jan de Ligny.

Próżno za dzikim upędzam się zwierzem,
Skały, wąwozy i lasy przebiegam,

Gonię ja dzika, jelenia, niedźwiedzia,
A za mną pędzi myśl zawsze ta sama,
Głośno wiatr szumi tam w jodeł wierzchołkach,
Głośno tam w górach brzmią echa myśliwskie,
Ale tu w głębi głośniejsze wołanie,
Echa straszniejsze nie dają pokoju!
(przechodzi niespokojnie i znowu staje)
Darmo! — inaczej postąpić nie mogę!...
Od urodzenia jam skazan fatalnie,
Próżnom się silił, by zwalczyć los srogi,
Zawsze mocniejszym on bywał odemnie,
(znowu się przechadza i staje znowu)
Ciasno mi tutaj w ubogiem zamczysku,
W gołych tych murach, w tych ścianach ponurych,
Jam tu jak żebrak, jak lichy szlachetka,
Kiedy się ród mój w dostatkach rozpiera,
I ja mam prawo do uciech, do wygód,
I do znaczenia na świecie szerokim,
I ja mam prawo chcieć posiąść nareszcie,
Szczęsny, pomyślny los na tym padole!...
Mądrzem i stale pracował w tym celu,
I już sięgałem po owoc mych trudów...
Ciotka sędziwa faworem swym darzy
I spadkobiercą swoim mię mianuje,
Ha! cel mych marzeń!... już staję u mety...
Lecz los zawistny co ścigał mię zawsze,
I tu mię dosiągł w ostatniej nadziei!
Jakby nie dosyć już mieli w spuściznie,
Dóbr i zaszczytów i mienia wszelkiego,
Tej odrobiny mi jeszcze zazdroszczą!
Spadek Sę Polów *) chcą wydrzeć koniecznie!

*) St. Pol.

Wszystkoż się starszym należeć ma zawsze,
Jakby nie jedna krew w żyłach płynęła?
Jak gdyby przodków poważne zastępy,
Nic już wspólnego z młodszemi nie miały?...
Bajki!... pokażę, że zająć też mogę,
Pośród magnatów należne mi miejsce,
Tego dziedzictwa nie oddam nikomu,
Chociażby miało mię ono kosztować,
Cenę... ha!... cenę... gdzież list ten Biskupa?
(szuka za suknią na piersiach, a dobywszy papier złożony rozkłada go i przebiega oczami, potem zamyśla się i mówi dalej)
Muszę tak czynić... ja nie mam wyboru!
W księciu Filipie ostatnia nadzieja,
Pomoc, opieka mi jego potrzebna,
Nie na mnie spadnie cień czynu brzydkiego...
Nie... na tych tylko co pchają do niego!
(odchodzi lewą stroną, a po chwili z prawej wchodzi Berta w skromnem codziennem ubraniu żon i córek ówczesnych rycerzy, za nią Małgorzała z czaszą w ręku.)

Scena V.

Berta, Małgorzata.

Berta.

O Małgorzato, ty moja jedyna,
Cóż doświadczenie twe dzisiaj powiada?
Czy jest nadzieja?... czy żywa zostanie...

Małgorzata.

Trochę polewki spożyła nareszcie,
Cieszmy się... teraz choroba zwalczona!

Trzy dni nic w usta nie brało nieboże...
Gdyby tak dłużej, zaprawdę powiadam,
Na nic by moje nie zdały się leki.

Berta.

Bogu więc dzięki... i twoim staraniom!

Małgorzata.

Waszym szczególnie... wszak we dnie i w nocy,
U jej wezgłowia siedzieliście, pani,
Bacząc na każde jej słowo, spojrzenie.

Berta.

Rozdzierające to były wyrazy,
Echa rozpaczy co wrzała w jej łonie,
Straszne widziadła, marzenia gorączki,
W których głąb duszy odsłaniał się cały...
Widzę te oczy, — ten wyraz przestrachu,
Ból ten niezmierny, gdy jej się zdawało,
Że lud, załogę i wszystkich mieszkańców,
Co do jednego i starych i małych,
W Kąpjeń wróg wyrznąć zamierza za karę
Miastu, że wiernem królowi zostało!...
I cóż dziwnego, że w trwodze śmiertelnej,
Wytrwać cierpliwie w zamknięciu nie chciała,
Że nie słuchając rozsądku w zapędzie,
Na niebezpieczny czyn ważyć się śmiała?
By się wydostać na miłą swobodę,
Spuszcza się z wieży zamkowej... i pada!
Ach, nie wyrażę ci mego przestrachu!

Samem wspomnieniem jam dotąd wzruszona,
Cała drżę jeszcze.

Małgorzata.

Nie myślcie już o tem...

Berta.

Mogła się zabić.

Małgorzata.

Bóg wszakże uchronił.

Berta.

By u nas ją to nieszczęście spotkało!

Małgorzata.

Bodaj większego nie było!

Berta.

Większego?
Jak to?... wytłomacz... I cóż by gorszego,
Jej się od śmierci przytrafić tu miało?
Pojąć nie mogę...

Małgorzata (zakłopotana).

Wyrzekłam to lekko,
I bez namysłu.

Berta.

A gdy ją wpół martwą,
Z ziemi podjęto i znów tu złożono,
Kiedy pokarmu już przyjąć nie chciała,

Gdy śmierć się zdała unosić już nad nią,
Wierzaj, pół życia oddałabym za to,
By ją ratować...

Małgorzata (patrząc na nią z litością).

Wypocząć wam trzeba,
Pani kochana...
(idzie za kulisy, z lewej strony zastawia tam czaszę, z którą była weszła na scenę i wraca wysuwając krzesło skórą obite o wysokich poręczach.)
Usiądźcie w tem krześle...
Głowę oprzyjcie wygodnie... a może
Sen dobroczynny wam sklei powieki,
Choćby na chwilę... to zawsze wygrana...
Ona tam także usnęła spokojnie...
(Berta siada w krześle).
Ot tak, to dobrze.

Berta.

Czy myślisz, że usnę?
W duszę wróciłaś mi jakiś niepokój...
Proszę, wyjaśnij, coś rzekła uprzednio.

Małgorzata.

Ej, nie zważajcie na słowa niebaczne,
Wasza piastunka, ot Bóg wie co plecie,
Starość nie radość... O schodzę już z pola,
Czuję to sama... i wkrótce się niezdam,
Już do niczego...

Berta (grożąc jej palcem dobrotliwie).

Zagadać chcesz tylko,

Moje pytanie... zazdrościć ci chyba,
Zdrowia, sił czerstwych, rozumu jasnego,
(zamyśla się)
Ty wiesz coś pewnie i kryjesz przedemną,
(z niepokojem)
Pan mój przededniem wyjechał na łowy...
Alboż nie wrócił?... Wszak nic się nie stało,
Złego nikomu z rodziny mej... prawda?

Małgorzata.

Bogu dziękować.

Berta.

W tych czasach wyznaję,
Branką tą naszą tak byłam zajęta,
Zem zaniedbała już może zanadto,
Mych obowiązków... Bóg widzi jednakże,
Iż nie dla płochej i marnej rozrywki...
Nie wiem też zgoła co przez ten czas w zamku,
Zaszło nowego — opowiedz mi proszę,
Ty, co wszystkiemu podołać potrafisz.

Małgorzata.

Nic się nie stało godnego uwagi.

Berta.

Z okna przypadkiem widziałam dziś zrana,
Obcych mi z twarzy, postawy i barwy...
Nie wiesz kto oni i z czem tu przybyli?

Małgorzata (nieco zmieszana).

Nie wiem... lecz cóż to was może obchodzić,
Alboż w odludnem mieszkamy ustroniu?

Alboż to mało się codzień przewinie,
W zamku tu ludzi różnego rzemiosła?
Giermków, rycerzy, wojaków, a nawet
Bodaj prawników od czasu jakiegoś?

Berta.

Prawda, masz słuszność... ta sprawa nieszczęsna,
Spadku po ciotce bogatej, niemało
Czyni kłopotu i troski przysparza!
Zazdroszczą szczęścia, lecz cóż w tem zdrożnego,
Że nam zapisać majątek swój chciała?
O, jam niechciwa, wiesz dobrze, nikomu
Złota, ni pereł, zazdrościć nie umiem,
Wszakże pojmuję, że ciężko być musi,
Kiedy nam równi wspanialej się stawią,
Blasku imienia swojego z godnością,
Niemódz utrzymać, tak jakby przystało!
(po chwili milczenia)
Myślisz więc tedy, że ludzie o których
Tylko co przed tem pytałam ciekawie...

Małgorzata (przerywając).

Ja nic nie myślę o pani kochana.

Berta.

Pozwól niech skończę.
(namyśla się)
Cóż chciałam powiedzieć?
Ha wypowiada mi służbę już pamięć,
Tak umęczona się czuję, że nie wiem,
O co przed chwilą zapytać chęć brała.

Małgorzata.

Dobrzem mówiła, że spocząć winniście!

Berta.

Miła ta nasza dziewica tak bardzo,
Myśl mą zaprząta, że inne przedmioty,
Jakby w pomroce znikają przedemną...
(po chwili milczenia)
Z niebezpieczeństwa więc wyszła, powiadasz?

Małgorzata.

Mniemam, że rychło powstanie z choroby,
Lecz czy bezpieczna? to inne pytanie!

Berta.

Jak to? dla czego? Cóż przez to rozumiesz?
Co jej tu grozi pod naszą opieką?

Małgorzata (na stronie).

Muszę powoli otworzyć jej oczy...
I przygotować do ciosu strasznego!
(głośno)
Pani najdroższa...

Berta.

Zkąd twoja nieśmiałość?

Małgorzata.

Trudno, bo czasem jest prawdę powiedzieć!...

Berta.

Prawdę? co znowu? to wszystko zagadki,
Mówże, dla Boga! — truchleję z obawy!

Małgorzata.

Widząc współczucie i miłość twą dla niej,
Muszę cię przestrzedz zawczasu... albowiem.

Berta.

Ależ miej litość i nie dręcz mię dłużej!

Małgorzata (ostrożnie).

Ludzie ci, których widzieliście z okna.

Berta.

Cóż chcą? strasznego co mogą zwiastować.

Małgorzata (tajemniczo).

Oni Joanny domagać się przyszli!

Berta.

Boże!... od kogo?... Któż wydać ją może?!

Małgorzata (kładąc palec na usta).

Cicho... ostrożnie...

Berta.

Cóż tu cię przestrasza?
Kogo się boisz?

Małgorzata (półgłosem).

Małżonek wasz Pani
Mógłby usłyszeć! nie zdradźcie mię, proszę.

Berta.

Co? Jan de Lini?... To jego się lękasz?
Prawym rycerzem małżonek mój przecie,
I pod tym dachem niewinność bezpieczna!

Małgorzata.

Pani kochana... on idzie... uchodźmy!
(odchodzi spiesznie prawą stroną.)

Berta (zrywając się z krzesła).

Wielki mój Boże! co znaczą te słowa?
Przestrach ten wielki.
(biorąc się za głowę.)
To byłoby straszne!
To niepodobna! przyśniło się starej.
(chce iść za nią, Jan de Ligny ukazuje się z lewej strony, Berta staje i zwraca się ku niemu.)

Scena VI.

Berta z prawej strony, *Jan de Ligny* z lewej.

Berta (ze wzruszeniem).

Panie, mój mężu!...

de Ligny (ponuro).

Tu jesteś? — to dobrze!
Do pomówienia coś znaleźć się może...

Berta (coraz bardziej wzruszona).

Mężu i Panie!

de Ligny (na stronie).

Już musi coś wiedzieć.

Berta (na stronie).

Ah! on zmieszany... zmieszany, niestety!...
(głośno zbierając całą odwagę swą.)
Mężu i Panie! — zdejm mi trwogę z serca.

de Ligny.

Dobrze powiadasz... jam Panem w tym zamku!

Berta (pytając).

Coś postanowił?

de Ligny (surowo).

Zkąd takie pytanie?

Berta.

Coś postanowił? — Zaklinam na Boga!
Kto są ci ludzie nieznani nikomu?
Co to za jedni? zkąd tutaj przybyli.

de Ligny.

Patrzaj spraw twoich i domu i dzieci!

Berta.

Nie, ty nie zhańbisz twej tarczy rycerskiej...
Prawda? nie splamisz twojego imienia!

de Ligny.

Co ci kobieto?... kto naplotł ci baśni?

Berta.

To więc nieprawda... nieprawda to wszystko?
Ah! Bogu dzięka!... lżej teraz oddycham,
Bajką, że kusić cię tutaj przysłano?
Że śmiał ktoś mniemać! iż rycerz szlachetny,
Zdradzi najświętsze uczucie honoru,
I wyda w ręce jej wrogów zaciętych,
Brankę swą... dziecię... bezbronną dziewicę.

de Ligny.

Nic nie rozumiesz w tej sprawie zawiłej,
Zostaw mi całe w tej mierze staranie,
(przechodzi na prawą stronę a Berta na lewą.)
Jam tu jest głową, na mojem ramieniu,
Polega domu i przyszłość i sława!
Muszę dbać o nią!

Berta.

Toż właśnie, o panie!
Ojcze mych dzieci... o cześć ich cię błagam!

de Ligny.

Odtąd potrzeby nikt tutaj nie zazna!
Miejsce nam z prawa należne zabierzem!
Dom mój wyniosę na świetne wyżyny...
Ród mój Sę Polów już stanie się rodem!
Dość upokorzeń... dość biedy, goryczy...
Mojem dziedzictwo!... dziś pewnym już tego.

Berta.

Mąci się w głowie mej biednej... o Boże!

de Ligny.

I twej godności też hołdy należne,
Każdy wnet złoży na dworze książęcym,
Skoro w dam gronie ukażesz się świetnie!...

Berta.

O, ja nie pragnę tych próżnych błyskotek,
Inne są skarby i inne klejnoty,
Które bym w rodzie zachować twym chciała!
Powiedz, że szkody im dziś się nie stało,

Powiedz, żeś prawym rycerzem
(pada mu do nóg.)
O Panie!
Mężu mój... błagam... miej litość...

de Ligny (ponuro).

Za późno!

Berta (zawsze na kolanach).

Nie! źlem słyszała!... to bajka! nieprawdaż?
Ty jej nie wydasz!

de Ligny (patrząc w ziemię).

Musiałem tak zrobić...

Berta.

Ah! my nieszczęsni! Odwołaj te słowa!

de Ligny.

Filip chciał tego...

Berta.

O bólu, o wstydzie!

de Ligny.

Okup królewski!

Berta.

Pieniądze angielskie!...
Cena krwi... Boże!... O, biadaż nam biada!
(chwila milczenia, Berta skulona na ziemi, twarz chowa w swych dłoniach, Jan de Ligny stoi ze spuszczoną głową i ze skrzyżowanemi na piersiach rękami.)

Berta (powstając blada jakby nieprzytomna).

Bodaj nie spadła na syny i wnuki,
Krew co z twej łaski zostanie przelana!...
Bodaj przekleństwem nie było to złoto,
Co jak srebrniki Judasza zabrzęczy,
W sądu strasznego niechybnej godzinie!
Dzieje na kartach swoich nas zapiszą,
Wnuki też wnukom swym będą powiadać,
Strasząc za karę haniebnym przykładem,
Był Jan de Ligny... co sprzedał Joannę!
(pada na krzesło, załamując ręce, zasłona się spuszcza.)

Koniec części pierwszej aktu V.

Scena VII.

Komnata królewska w Chinon, jak w drugim akcie, Karol wchodzi, prowadząc Agnieszkę.

Karol, Agnieszka.

Karol (z czułością).

Znowu więc szczęsne wróciły mi chwile!
Teraz nareszcie swobodnie oddycham!
Tyś tu Agnieszko i panem prawdziwym,
Dzisiaj dopiero na dobre się czuję,
Odtąd nam będą płynęły dni błogie,
W słodkiej rozkoszy i miłej jedności,
Jakiej przykładu świat nigdy nie widział,
Obie królowe powitać cię pragną...
Dobrym aniołem nam wszystkim tu będziesz,
Lecz cóż to?... czemuż nie widzę radości,
Ani uśmiechu na ustach czarownych?
I blask tych oczu tak dobrze mi znany,

Czemuż się kryje pod chłodu zasłoną?...
Nie dręcz mię dłużej tą zimną postawą,
To ja twój Karol, o miłość twą znowu,
O przebaczenie dziś u nóg twych błagam!...
(Agnieszka milczy posępnie.)
Nic że mi na to powiedzieć nie zechcesz,
Gdyś ty piękniejszą, gorętszym niż kiedy?
Czyż oddalenie tak rychło zdołało
Serce i miłość twą dla mnie ostudzić?...

Agnieszka.

Oby tak było!... Lecz próżne marzenie!...

Karol.

Droga Agnieszko!

Agnieszka.

To serce niestety,
Słabem aż nadto dotychczas się czuje!...

Karol.

Słodkich uniesień szczęśliwa godzino!!

Agnieszka.

Lecz któż zaręczy, że nowych zawodów,
Gorycz nie czyha już na mnie gdzieś zdala?
Że intrygantów już zazdrość nikczemna,
Spisków nie knuje, na zgubę mą znowu?
Panie! tyś królem i podłe zabiegi
Dworzan ambitnych, nie mogąc być znane!
Tyś znać nie w stanie, co mocen interes,
I chęć wzniesienia się łaską twą sprawić,
Jam to widziała i spocząć nie zdołam,
Póki nie raczysz usunąć od siebie

Takich, co tylko o własnej korzyści,
Nie o twej panie wielkości myśleli.

Karol.

I któż tak bardzo zawadzać ci może,
Mów, a przysięgam, że choćby najdroższy
Był im, zaprawdę poświęcę go tobie,
(po chwili)
Byłżeby Gufje, postrachem tym dla cię.

Agnieszka.

O nie, ten prawdę zwykł mawiać mi w oczy,
Tacy nie straszni, — nie jego się boję!
Lecz kto się płaszczy i słowy gładkiemi,
Zręcznie pochlebia, ten zdrajcą i wrogiem.

Karol.

Wiem już, czyj obraz przed okiem twem staje,
Miła Agnieszko, rozumiem myśl twoją,
Mylisz się wszakże, jeżelić się zdaje,
Że się już bezeń dziś obejść nie mogę,
Gdy cię mam luba nie pragnę nikogo —
Tyś mi jedyną i panią tu znowu.
Rządź mną i kieruj.. a słowem mem ręczę,
Iż najzupełniej ci zadość się stanie!

Agnieszka (rozglądając się do koła).

Co tu pamiątek, co wspomnień się budzi...
Luba przeszłości!... Wróciłaś więc dla mnie!
Czy sen to może? Czy błogie marzenie?
Ach! dnia onego, w tej właśnie komnacie,
Pierwsza nas doszła wieść, że tu przybyła

Biedna Joanna... O królu kochany!
Jakże to wtedy wyglądał świat cały?!

Karol.

Pocóż rozbudzać te smutne wspomnienia?
Wszystko minęło i jasny dzień znowu.

Agnieszka.

Tak... my szczęśliwi... a ona w Ruenie!

Karol.

Taka jest zmienność powodzeń i losów!
Taką niestety fortuny niestałość.

Agnieszka.

Pomnieć trza o tem, o panie mój drogi!...
Ach!... cóż, bo kiedyś potomność wyrzecze?...
O, niech niewdzięcznym świat ciebie nie zowie!

Karol.

Mnie, mnie niewdzięcznym? Czyż nie wiesz jak hojnie
Jam wynadgrodził jej wszystkie zasługi?
Dałem szlachectwo, wyniosłem ród cały,
Dworem ją świetnym otoczyć kazałem!...
Na czem jej brakło?... I mojaż to wina,
Że się jak rycerz w niewolę dostała?

Agnieszka.

Ale obyczaj rycerski też niesie,
Że się za okup znów wraca na wolność. —
Czyliż się w kraju tym przez nią zbawionym,
Grosz na ratunek dziewicy nie znajdzie?

Karol.

Miła Agnieszko! w twem sercu wspaniałem,
Iście przesadzasz zasługi zwyczajne,
Potrzeb jest mnóstwo, zaś środków niewiele,
Na co innego mam pieniądz potrzebny!
Wreszcie moc wyższa urządza koleje
Naszych przeznaczeń... Joanna już dzisiaj,
Znać niepotrzebna, gdy Pan Bóg dopuścił,
By się zgubiła. — Jam temu nie winien,
Własnym rozumem rządziła się zawsze,
Duch niespokojny w niej nadto się burzył,
Jam jej odradzał, lecz słuchać nie chciała...
Teraz po czasie, — nic dla niej nie mogę!
Prawdę też mówiąc, nie miałbym spokoju,
Gdyby tu dłużej przywodzić nam miała!...
Stracić gotowaby wszystkie korzyści,
Któreśmy z trudem tak wielkim zdobyli,
Widać tak lepiej... i Bogu zostawić
Trzeba tę sprawę — on niechaj sam radzi!
Cudem ją podniósł i jeźli potrzeba
To ją znów cudem ocalić potrafi! —
A więc się nie trap jej losem o droga!
Niechaj myśl smutna nie mąci radości,
Jaką zajaśnieć ma dzisiaj dwór cały,
By cię powitać, patrz, oto już spieszą
Moi dworzanie.

Agnieszka (spostrzegając Thouarsa de la Trémonille, który wchodzi najpierwszy).

A słowo twe królu?

Karol.

Oto się nie troszcz... com przyrzekł dotrzymam,
Sama wnet ujrzysz!

Agnieszka.

Dziękuję ci Panie.

Scena VIII.

Karol, Agnieszka, Thouars de la Trémonille, Boissy de Gouffier i inni panowie.

Thouars de la Trémonille (nizko się przed Agnieszką kłaniając).

Chwila szczęśliwa! witamy nareszcie,
Wdzięków królowę i panią piękności!
(Agnieszka odwraca się w milczeniu i przechodzi na prawą stronę króla. Thouars zmieszany usuwa się na bok, Gaucourt, Gouffier de Boissy i inni panowie, kłaniają się w milczeniu.)

Karol do swoich dworzan.

Dzięki wam moi szlachetni panowie,
Za to współczucie dla króla waszego,
Wszystko więc dla nas pomyślnie się składa,
Każdy rad celów swych dzisiaj dopina,
To nam otuchą, że odtąd owoce
Same i kwiaty tu będziem zbierali!
Chcę też dziś uczcić tę zorzę pomyślną,
Świetnym festynem na który was wzywam,
Dzielcie mą radość me błogie uczucia...
Niechaj cień żaden zabawy nie mroczy,
(zwracając się do Thouarsa zimno)

A wam margrabio, podobno wytchnienie
W ciszy samotnej potrzebne, a zatem
Wspomnień szeregi niech czyny zastąpią,
Idźcie... nie trzymam... Urlopu bez granic,
Wam dziś użyczam, — zaś przy mej osobie,
Inni was odtąd zamienić potrafią,
(wszyscy milczą pomieszani, Karol podaje ramię Agnieszce)
Chodźmy, o luba! królowa nas czeka!
(daje dworzanom uprzejmy znak ręką.)

Agnieszka (na stronie).

Ha! przeznaczeniu opierać się trudno,
Jegom ja odtąd przez życie... do śmierci.
(odchodzą.)
(Thouars de la Trémonille zbliża się kolejno do Gaucourta i innych dworzan, każdy zimno go przyjmuje i odwraca się, wszyscy wychodzą za królem, z wyjątkiem Gouffiera.)

Scena IX.

Gouffier de Boissy na przodzie, *Thouars de la Trémonille* w głębi.

Gouffier de Boissy patrząc za Karolem i Agnieszką.

(do siebie)
Czeka królowa... i jedna i druga!...
Sojusz sromotny!... o bólu i zgrozo!
Możnaż zgorszeniu dać większe rozmiary,
Widzę, nie dosyć go było na świecie!
Żona przyzwala... a chytra Jolanta,
Sama w dom córki tę hańbę wprowadza,
(z gorzką ironią.)
Po cóż skrupuły się dręczyć próżnemi?
Żyć tak wygodnie z uśpionem sumieniem,

Grzesznym zapałom już oddać się można!!
Biedny Karolu... pokoju ty wszakże,
Nigdy do śmierci nie zaznasz!
(chce odejść, spostrzega Thouarsa de la Trémonille.)
Wy tutaj
Jeszcze margrabio?

Thouars de la Trémonille (podchodząc naprzód).

Wstrzymajcie się chwilkę,
Błagam przez litość, powiedzieć mi chciejcie,
Zkąd ta odmiana? Zkąd piorun piekielny,
Co spadł z nienacka i strzaskał mię nagle?
Zmysły me tracę, odchodzę od siebie!
I mnież-to, mnie tak odprawił haniebnie,
Mnie ulubieńca swojego, ten Karol?!
Za me usługi, za wierność mą stałą,
Takaż więc tutaj mię wdzięczność czekała?!

Gouffier de Boissy.

Wy o wdzięczności mówicie? — to dziwna!
Wiedzieć któż lepiej mógł od was, że zwykłą
Osią, na której się świat nasz obraca,
Siłą co ludzi wciąż naprzód popycha,
Kluczem zagadek i czynów sprężyną,
Był, jest i będzie, li własny interes!
Alboż nie takiem i wasze działanie,
Było dotychczas?...

Thouars de la Trémonille.

Ha! zawód okrutny!

Gouffier de Boissy.

Łaski monarsze to krucha podstawa,
Na niej się trwała budowa wznieść nie da,
Szale faworów tu ciągle się ważą,
Każda z kolei to w górze, to w dole.

Thouars de la Trémonille.

Łatwo wam o tem spokojnie rozprawiać,
Kiedy wciąż szczęście wam stale przyświeca.

Gouffier de Boissy.

Nigdym ja dołków pod nikim nie kopał,
O nie dla siebie jam nigdy nie prosił,
Nie mam zawistnych, niestrasznym nikomu,
Przeto też żadnych się odmian nie boję.

Thouars de la Trémonille.

Prawda!... losowi jam nazbyt zaufał,
Grałem grę grubą... i wszystkom postradał.

Gouffier de Boissy.

Biedny margrabio, złapanyś w swej sieci,
Jam cię z jej sideł wybawić nie wstanie...
Świat sprawiedliwszy, niż nam się wydaje —
Chlebem oddanym zwykł karmić swe dzieci.

Thouars de la Trémonille.

Ha! chleb oddany!... więc pomszczą mię kiedyś,
Znowu z kolei przyczyny i skutki!
To mą nadzieją, to moją pociechą
W rozczarowaniu, w upadku straszliwym!
Przyjdzie czas, że się tym chlebem zadławią,
Ten król, ta płocha i dumna niewiasta!

Przyjdzie i dla nich zapłaty godzina,
Wtenczas rachunek nasz będzie skończony!
(odchodzi prawą stroną Gouffier ze spuszczoną głową w zamyśleniu.)

Gouffier de Boissy (sam do siebie).

Ah! tak rachunek... rachunek ogromny,
Szereg spraw długi zwiększany codziennie,
Czarne są plamy i krwawe litery,
Na tych stronnicach!... a do nich przybędzie
Jeszcze straszniejsza ohyda, niestety!...
Ah! bój się Boga, bój Boga Karolu,
Ty, co dziś jednem twem słowem świadectwo
Możesz dać prawdzie i zwalić tem słowem,
Winę i karę na głowę twych wrogów!
Czemużeś niemy i milczysz zacięcie,
Gdzie ci głos podnieść koniecznie przystało,
Jeźli nie oręż?... Dla czego Joannę
Nędznieś poświęcił?!... O pomstę do Boga,
Niechaj nie woła na ciebie i ród twój,
Kraj twój i naród, ta zbrodnia nikczemna,
Panie! miej litość, — i nie karz nas za nią.
(odchodzi za królem i dworem.)

Dekoracye się zmieniają. Scena przedstawia salę sądową w zamku Ruańskim.

Scena X.

Lahire, doktor prawa, *Brat Marcin*, zakonnik, wchodzą na scenę z lewej strony widzów.

Lahire.

Cały ten proces nic nie wart, powiadam!
Prawnych form nawet zachować nie chciano,

Wolnym nikt nie był w swem zdaniu... w zamknięciu
Wszystko się działo, sekretnie, nie jawnie...
Świadków, kto pytał i jakich?... zaprawdę
Przeciw niej tylko — zaś za nią żadnego
Rzec by też można, że przeciw Karola
Czci wymierzony, za którą Joanna
Się ujmowała. — A zatem i jego
Trza by sprowadzić przed kratki, i jemu
Dać też obrońcę!...

Brat Marcin.

Cóż zatem myślicie!
Wszystko na nowo rozpocząć, czyż zechcą?
Jam tu wezwany, bym ciężką powinność
Spełnił i na śmierć gotował niebogę. —

Lahire.

Chciwy godności ten Biskup przewrotny,
Anglii oddany i duszą i ciałem,
Cele jedynie swe mając na względzie,
Arcybiskupem chcąc zostać w Ruanie,
W gruncie on nie rad czynić jak przystało,
Lecz potwierdzenia chce tylko odemnie,
Ale się mocno w rachubie omylił...
Prawdę mu rzekłem... wskazałem nieprawość,
Zatem też spiesznie ztąd muszę uchodzić!

Brat Marcin.

Jakto? wy także opuścić nas chcecie?

Lahire.

Nic nie pomoże tu prawdy obrona!
Sprawiedliwości spodziewać się próżno

Tam, gdzie się prawem osłania bezprawie!...
Z góry Joanna już była skazaną! —
Czekać nie mogę, aż na mnie też spadnie
Zemsta tych, którzy źle czyniąc, jednakże
Czują gdzieś w głębi naganę, i pomścić
Winę swą radzi na sędziach ich czynów,
Idę do Rzymu nieść moje usługi,
Ojcu wszech wiernych, stolicy Piotrowej!
Tam dla strapionych każdego narodu,
Dom rodzicielski i ducha ojczyzna...
Wy zostaniecie do końca... to starczy!
Lecz ja otrząsam proch z mego obuwia.

(odchodzi prawą stroną.)

Brat Marcin (wzruszony).

Jakże zadosyć potrafię uczynić,
Nazbyt niestety ciężkiemu zadaniu,
B edna dziewico!... tę śmierć tak okrutną
Jak ci zwiastować?...
(w tej chwili żołnierze wprowadzają Joannę z prawej strony)
Ha!... otóż i ona!

Scena XI.

Brat Marcin, Joanna wynędzniała blada z łańcuchami na rękach i nogach, żołnierze w głębi.

Brat Marcin (na stronie).

Jakże wygląda mizernie o Boże!
Litość przejmuje na widok jej... Biedna!
(przystępując do niej ze współczuciem)
Jakże się miewasz, Joanno?

Joanna (ze smutnym uśmiechem wskazując swe więzy).

Widzicie!!
Pocóż mię tutaj zwołano? Myślałam,
Że przed Biskupem mi stawić się każą.

Brat Marcin.

Biskup przybędzie... lecz wprzódy ja muszę
Bied twych już koniec ci dzisiaj zwiastować!

Joanna (z niedowierzaniem).

Prawdęż mówicie?... Jam prawie przestała,
Już mieć nadzieję... Ach, Święte mi wprawdzie
Wolność przyrzekły... i z wielkim tryumfem,
Ale tak długo nań dotąd czekałam.

Brat Marcin.

Zbliża się teraz... Joanno, bądź mężną
Umrzeć masz dzisiaj... dziewico... odwagi!...

Joanna.

Co? już tak rychło?... dziś umrzeć mój ojcze?..
Za cóż mój Boże!... gdzież wina ma wielka.

Brat Marcin.

Nie ja twym sędzią... lecz wkrótce za chwilę,
Staniesz przed sędzią innym, sprawiedliwym!

Joanna.

Pojąć nie umiem... uwierzyć nie mogę,
Król mój... ojczyzna... dziś umrzeć... i jakże?

Brat Marcin.

Podług wyroku, co na cię wydano,
Masz być (na stronie) o Boże! (głośno) spaloną na stosie.

Joanna (wybuchając żałością).

Ach! niepodobna!... Ach, być że to może?
Umrzeć na stosie... litości!... litości!
Ojcze powiedzcie, że was tu przysłano,
By udręczenia nowego wymysłem,
Wydrzeć mi jakieś kłamliwe zeznanie...
Prawda mój ojcze?

Brat Marcin.

Tak nie jest, niestety!
Myśl o twej duszy!

Joanna (załamując ręce z płaczem).

Dziś umrzeć i tutaj,
Miasto nieszczęsne! Ruanie, Ruanie!
A więc tu moje ostatnie mieszkanie!
Za cóż, ach! za cóż to biedne me ciało
W strasznych płomieniach dziś będzie gorzało,
Raczej już stokroć przelejcie krew moją...
Mieczem niech ginę, niech zetną mi głowę...
Tylko nie w ogniu, nie w dymie dyszącym,
Jak czarownica!... O! biedni rodzice!!
(szlocha.)

Brat Marcin (tłumiąc wzruszenie).

Przyjmij z rąk Boga, co na cię on zsyła.

Joanna (łkając).

O! jam się jego wyrokom nie chciała
Nigdy sprzeciwić... lecz czyż to być może,
By on chciał tego?...

Brat Marcin.

Spójrz na krzyż dziewico.

Joanna.

Ojcze, gdzież będę dziś wieczór?...

Brat Marcin.

Ty pytasz?

Joanna.

Ah! tak, jeżeli to wola jest Boga,
Będę z nim w raju... nieprawdaż mój ojcze?

Brat Marcin.

Kto w nim umiera, żyć będzie na wieki.

Joanna (wznosząc załzawione oczy w górę, jak by tam miała widzenie).

Święte wy moje... Ah! znowu spostrzegam
Jasność szat waszych, waszego oblicza...
Anioł Gabryel... On zwiastun pociechy:
Boże, uznaję miłości twej cuda,
Umrzeć mi trzeba, potrzeba ofiary!
Widzę, pojmuję... Ah! łuski spadają
Z oczu mych... tak jest o Panie łaskawy!...
To brama, przez którą wnijść mam na gody

To wyzwolenia mojego godzina,
Ah!... to ten tryumf mnie zapowiedziany...
Wierzę, o wierzę, że szczęście się zbliża,
Już się nie boję ni mąk ni płomieni,
Ojcze, gotowam na wszystko!

Brat Marcin.

Hosanna!

Scena XII.

Ci sami, *Cauchon*, Anglicy, sędziowie wchodzą z lewej strony widzów.

Cauchon do Anglików.

Słowam dotrzymał, — złapałem ją — macie!
O mych usługach pomnijcie przed królem
(do Joanny wskazując jej zwój pargaminowy, który trzyma w ręku)
Kiedy szkaradną zgnilizną dotknięta,
Znajdzie się plama na ciele społecznem,
By nie zarazić całości tym jadem,
Członek zatruty oddalić wnet trzeba,
Przeto Joanno dziewicą przezwana,
Zgorszeń bez liku, iż byłaś przyczyną,
W męzkie się szaty stroiłaś uparcie,
Iżeś się błędów wyrzekłszy na pozór,
Jednak znów do nich obrzydle wróciła,
Iżeś z szatanem w tajemnej ugodzie,
Mocą nieczystą twe sprawy czyniła,
I czarnoksiężką potęgą tak długo
Cały kraj, naród nikczemnieś zwodziła,
Za tem herezyi cię winną uznawszy,

Sądu świeckiego i prawa wyrokom,
Jak chce porządek ciebieśmy oddali!...
By zaś twe zbrodnie zagładzić przed światem,
I zmyć nareszcie ohydne zgorszenie,
Śmierć twa stósownie do karnej ustawy,
Dzisiaj przykładem niech będzie ludowi...

Joanna (która całej tej mowy słuchała ze spokojną rezygnacyą).

Niech sprawiedliwy Bóg, sędzia najwyższy,
Krzywdy mej tutaj sam świadkiem być raczy!
W waszej jam mocy z Bożego zrządzenia,
Kielich ten wypić więc muszę aż do dna!...
Bóg nas rozsądzi, i kiedyś ujrzycie,
Żeście niewinnie na kaźń mię skazali!
Lecz choć to ciało spalicie okrutnie,
Choć wiatr popioły me biedne rozwieje,
Losu waszego nie zmieni się karta,
Umrę niewinna, na stosie ofiarnym,
Lecz wprzód, nim mała lat liczba przeminie,
Ani jednego najeźdźcy już tutaj,
Ani jednego Anglika nie będzie!
Dosyć albowiem każdemu tej ziemi,
Kędy mu Pan Bóg urodzić się kazał,
A zbrodnią wielką wydzierać bliźniemu,
Miłą ojczyznę, kraj jego kochany.

Cauchon.

I ty nam grozić się jeszcze ośmielasz,
Ty opuszczona od Boga i ludzi!

Joanna.

Ludziom przebaczam i z duszy i z serca!...
Lecz jednej teraz mi prośby dozwólcie,
Na śmierć o suknię niewieścią was błagam!

Cauchon.

A więc nareszcie wstyd ciebie ogarnia!
Czemużeś pierwej tej sukni nie chciała?

Joanna (z bolesnym uśmiechem).

Dziś już nie straszna!... Lecz długą niech będzie,
O! jak najdłuższą.

Cauchon.

Otrzymasz za chwilę.

Joanna (zwracając się do brata Marcina).

Ojcze, wysłuchać spowiedzi mej chciejcie...
I dać na drogę mi święty Sakrament.

Cauchon (przerywając).

Spieszcie!

Joanna.

Biskupie umieram przez ciebie.

Cauchon (do Anglików).

Wszystko gotowe!

Joanna (odchodząc z bratem Marcinem w asystencyi żołnierzy).

Na sądzie ostatnim,
Wszyscy się znowu raz jeszcze spotkamy!

(żołnierze uprowadzają Joannę prawą stroną, Cauchon pomieszany z sędziami i Anglikami odchodzi lewą stroną.)

Dekoracye raz jeszcze się zmieniają.

Scena XIII.

Plac rynkowy w Ruanie, w głębi stos wysoko ułożony, obok niego z boku po lewej stronie estrada wzniesiona a raczej siedzenia przygotowane dla władz miejscowych, po obu stronach domu i ujścia ulic z których wychodząc lud kupkami się gromadzi na placu, szepcząc między sobą.

Czarny rycerz ukazuje się w głębi, przypatruje się stosowi, obchodząc go do koła.

Czarny rycerz.

Cha — cha! na wszystkich mych klnę się ministrów!
Nieźlem pracował — ręka chwali mistrza!
Trudu zaś niebian — epilog żałośny,
Wspaniały dowód serc ludzkich lichoty,
I nikłe ogniów rozdmuchanych skutki!
Zamiast gołąbki co lud zbawić miała,
Stos ten ludowi wskaże czarownicę!
Weź-że ją sobie Francyo — boś jej chciała,
I ciesz się świetnym twej sprawy obrotem,
Jak się nim cieszę ja...

(po chwili)

Gdybyż tak dalej...
Gdyby tak zawsze bez powrotnej fali!...

(po chwili znowu)

Bo chociaż składnie na teraz się splata,
Choć gromy przyszłe Francyi nie ominą,
Iż nawiedzenia nie poznała doby,
I głosom górnym nie dała posłuchu, —
A ztąd bogate przyjdą nam korzyści...
Jednak tli w głębi niepokój tłumiony,
I trwoga blada pyta — czy uniknę

Ofiary nowej nienawistnych skutków,
I krwi męczeńskiej groźnego posiewu.

(po pauzie)

Co bądź ze stosu tego się wyłoni,
Dziś praca płaci, — jutra nie uprzedzam,
Cha, cha! wszak dosyć ma dzień na swej nędzy! —

(znika za kulisami.)

(Z prawej strony najbliżej widzów wchodzą Tebald i matka Joanny, oboje widocznie znużeni długą podróżą.)

Matka (opuszczając się na kamień stojący na rogu ulicy, którą przybyli).

Dalej nie mogę... padam ze zmęczenia,
Muszę tu spocząć... ty o nią zapytaj...

Tebald (na stronie).

Wszystko złowrogą ma jakąś tu postać!
(rozgląda się dokoła i spostrzega stos w głębi)
Boże!... cóż znaczą te straszne przybory?

Matka.

Czegoż bo czekasz Tebaldzie kochany?
Serce zamiera mi w piersi... patrz tylko!
Ludu gromada zalega plac cały...
Ktoś z nich tam przecie powiedzieć potrafi,
Kędy jej szukać... jak trafić też do tych,
Którzy ją w więzach swych dotąd trzymają!
Rzucę się do nóg im, o mój Tebaldzie,
Powiem, żem matka, że za nią mem życiem
Ręczyć gotowam, — wysłuchać mię muszą...
Łez mych potokiem obleję ich stopy,
Serce ich zmiękczyć potrafię, chociażby

Twardszem od głazu i stali być miało!...
Ach! ty nie wierzysz... O pójdź-że, pójdź, proszę.
(Tebald podchodzi do najbliższej kupki ludu, zamienia słów parę i wraca cały pomieszany, — matka za nim patrząc, spostrzega stos przygotowany.)

Matka (do wracającego).

Cóż to tam, powiedz?... co znaczy to drzewo?

Tebald (odchodząc prawie od zmysłów).

Matko nie pytaj... mówili mi tamci...
Że czarownicę dziś spalić tu mają.

Matka (zakrywając oczy rękami).

Boże! Dla czegoż to właśnie w tę chwilę
Tuśmy trafili.
(słychać z lewej strony szmer i głuchy odgłos bębna.)

Tebald.

Ach! już prowadzą!
(staje przed matką tak, aby jej zasłonić widok zbliżającego się orszaku)
Nie patrz, ach! nie patrz o matko nieszczęsna.

Matka (gorączkowo usiłując go odsunąć).

Czemu zasłaniasz?... Chcę ujrzeć Tebaldzie,
Puść mię... puść, proszę!...
(Cauchon, Anglicy, sędziowie ukazują się na estradzie w głębi, orszak wchodzi na scenę z lewej strony, żołnierze na przodzie i z tyłu, w środku kat a za nim Joanna w długiej białej śmiertelnej koszuli, z wzrokiem w niebo utkwionym, obok niej brat Marcin.)

Matka (która pomimo oporu Tebalda wydarła się naprzód i ujrzała, staje jak wryta, wyciąga ramiona i wydaje krzyk rozdzierający).

Ah! Dziecię, me dziecię!

(chce postąpić naprzód i pada, jakby piorunem nagle rażona. — Tebald klęka, wznosi ręce i patrzy na Joannę, jak skamieniały aż do końca, Joanna wstępuje na stos, brat Marcin staje naprzeciw niej z krucyfiksem w górę wzniesionym. — W tej chwili czarny rycerz ukazuje się na pierwszym planie zaraz z lewej strony.)

Cauchon (z estrady do kata).

Czyń twą powinność!

(kat uwiązuje Joannę do słupa na stosie.)

Joanna (na stosie).

W twe ręce, o Panie!
Duszę polecam — Zmiłuj się nademną!

(kat stos zapala — płomienia podnoszą się, kłęby dymu zasłaniają Joannę.)

Chór napowietrzny.

Pójdź już, pójdź do nas siostro kochana,
Ofiara święta i nieskalana,
Sięgnij po wieniec chwały wieczystej,
Klęknij przed tronem dziewicy czystej,
Ty coś niewinna żyła na ziemi,
Spiesz się weselić z twemi świętemi.

Kilku wśród ludu wskazując w górę.

Patrzcie, ah! patrzcie, gołąbka tam biała.

Kilka innych głosów.

To jej duszyczka do nieba wzleciała.

Lud cały.

Biadaż nam, biada! Spaliliśmy świętą.
(Cauchon mdleje na estradzie.)

Głos z góry.

Tak, ona dzisiaj do niebios wam wzięta,
Lecz po dniach wielu, gdy dola was ściśnie,
Za jej przyczyną dzień wam nowy błyśnie.

Czarny rycerz (który się przez ten czas sam z sobą z boku pasował, występuje na przód sceny).

Zmódz ich nie mógłem, przewidziałem z góry,
Uszła mych sideł przy tamtych zwycięztwie,
Z lichej powłoki, z niewiasty nasienia,
Wypadł cios nowy — przyszła pomoc światu.
. . . .
Przeklęte prawo! Gdy gmach już się chwieje,
I owoc zgniły sam się w przepaść prosi,
Prawicę na świat wyciągnioną strąca,
Krwi barankowej ponowiony skutek! —
I krew niewinna rozbraja sędziego! —
Próżno, przeznaczeń muru nie przebiję...
Lecz własną pracą zaludniać Mu niebo?!
O dolo sroga! męko niepojęta!
Gniewu i zemsty, gdzież upust jedyny?
Przewlekać niebios tryumf upragniony,
Zapędzać mnóstwo do tych mieszkań smutku,
Zkąd wyjścia nie masz, gdzie trzyma noc czarna,
W gniewie co szarpie, — jedyna zachęta. —
Gryźć ród ten ludzki — władzę brać nad światem
Krwawe wywrotu rządy wykonywać,
Tem żyję jeszcze, — tem długo żyć mogę,
Bom pewny żniwa, bo moich znam ludzi,

Gdy przyjdzie wielka doświadczeń godzina,
Na ród ten ludzki, — najdę go gotowym
Uczcić mię księcia dawnego tej ziemi,
Wtedy do walki w mej potędze stanę,
I pokłon przyjmę — i Ave! usłyszę,
Ave z ust wszystkich świata burzycieli,
Jakom dziś słyszał z ust katów Joanny! —
(znika.)

Chór napowietrzny śpiewa w dali.

Lecz kto się Panu odda w ofierze,
Komu wróg prawdy życie odbierze,
Kto się za braci cały poświęci,
Komu strach śmierci ducha nie zmąci
Ujrzy ten światło wiecznego słońca,
Błogosławiony, że trwał do końca.

Chór drugi.

Błogosławieni prześladowani,
Spragnieni prawdy — i spracowani,
Miną łzy, będą pocieszeni.

Błogosławieni.

Bo noc ustąpi — ziemia się zmieni,
Gdy wyjdą czasy. — W złości zawziętych,
Zmoże cierpliwość i wiara Świętych!
(Wśród tego stos zapada, zasłona się spuszcza.)

Koniec aktu piątego i ostatniego.